NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.— 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 3 września 1910. Nr. 36.

Ogłoszenie Czarnogóry królestwem.

(Treść na str. 2).



Nr. 36. „Nowości illustrowanych" zawiera: Wyścigi 10 pułku dragonów w Krakowie. — Nowi instruktorowie Kółek rolniczych. — Tryumfy i klęski awiatyki. — Złote gody we Lwowie. — Bandycki napad na propinacyę. — Młodzi sportowcy. — Cholera w Rosyi. — Nauczycielstwo krakowskie w Szwajcaryi.

Ogłoszenie Czarnogóry królestwem.

(Do illustracyi tytułowej i zdjęć fotogr.)

W ubiegłą niedzielę Europa powiększyła ilość królestw o jedno. W dniu tym mianowicie nastąpiło uroczyste proklamowanie księstwa czarnogórskiego królestwem, a jego władca Mikołaj, popularnie Nikitą zwany, przybrał tytuł króla Mikołaja I.

Korony cesarskie i królewskie nie mają dziś dla



Ogłoszenie Czarnogóry królestwem: Król Mikołaj I.

świata współczesnego tego prawie mistycznego znaczenia, jak ongiś, a monarchów nie uważa się za „narzędzia niebios“; znaczenie ich i powaga zależy przedewszystkiem od własnej inteligencyi i od siły danego kraju. Z tradycyi jednak i przyzwyczajenia łączy się zwykle z tytułem królewskim pojęcie jakiejś materyalnej potęgi, jakiejś znaczniejszej siły i władzy. Więc może uzasadnione jest traktowanie owego podniesienia Czarnogóry do rzędu królestw, z humorystycznej do pewnego stopnia strony tej, Czarnogóry, która ma zaledwie 9.000 klm² obszaru, 250.000 mieszkańców, 3.000 siły zbrojnej i niespełna 3 miliony koron w budżecie. Ze stanowiska wyłącznie materyalnego, humorystyka ta jest usprawiedliwiona.

Inaczej jednak przedstawia się sprawa wspomnianego „awansu“ Czarnogóry, gdy się ją bierze z punktu widzenia historyczno-politycznego, jako następstwo i epilog wielu doniosłych faktów politycznych, które ją poprzedziły. W ten sposób patrząc na ogłoszenie Czarnogóry królestwem, widzi się, iż jest ono jednym z objawów likwidacyi traktatu berlińskiego oraz aneksyi Bośni i Hercegowiny przez Austro-Węgry.

Jak wiadomo, traktat berliński postawił Czarnogórę w położenie pewnej zależności od Austro-Węgier. Dopiero w zeszłym roku upadły znamiona tej zależności, a upadły w ten sposób, iż Austro-Węgry, aby ułagodzić oburzenie Czarnogóry z powodu aneksyi krajów okupowanych, zgodziły się na zmianę odnośnego artykułu traktatu berlińskiego i zwolniły sąsiada od poniżających obowiązków, w tym artykule wymienionych. Widomym znakiem tego uniezależnienia Czarnogóry jest ogłoszenie się księcia Mikołaja królem. Tytuł ten zadowala jego miłość własną i uwalnia z tytularnej niższości wobec własnej córki, królowej włoskiej Heleny.

Dzieje Czarnogóry sięgają dość dawnych czasów. Była ona jednak przez szereg wieków dyecezyą biskupią, w obrębie cesarstwa ottomańskiego, dyecezyą atoli nieuznającą rządów tureckich. Rządzili tam biskupi, czyli „władycy“. Dopiero władyka Danilo sekularyzował się 1851 r., ożenił się i przyjął tytuł księcia Daniły I. Dzięki protektoratowi Rosyi powiększyła nadto Czarnogóra swoje terytoryum kosztem Turcyi.

Obecny władca Czarnogóry, król Mikołaj Petrowicz Niegosz, zasiada na tronie od 1860 r. t. j. od lat 50 i w czasie tym dokonał wielu pożytecznych dla swego kraju dzieł, które zapewnią mu na długo najlepszą pamięć wśród poddanych. Ożeniony z wojewodzianką serbską Mileną Vukoticzówną, doczekał się licznego potomstwa, trzech synów i sześciu urodziwych córek, z których Helena zasiada na tronie włoskim, Milica i Anastazya poślubiły wielkich książąt rosyjskich Piotra i Mikołaja, Anna księcia Franciszka Józefa Battenberskiego, a dwie najmłodsze Ksenia i Wera są dotąd pannami. Następcą tronu jest książę Danilo, natura odmienna od ojca, stroniący od polityki, ożeniony z Juttą, księżniczką meklemburską; drugi syn, książę Mirko, wielce energiczny, pełen temperamentu, będzie — zdaje się — dzielnym panującym. Najmłodszym synem jest książę Piotr. Przy ocenie faktu ogłoszenia Czarnogóry królestwem należy zwrócić uwagę i na to jeszcze, że jest to kraj etnograficznie serbski, że dalej Mikołaj I. przez nadanie Czarnogórze konstytucyi, a obecnie przez przybranie tytułu królewskiego podniósł urok swej osoby u Serbów, że rodzina Niegoszów ma dość wyraźne aspiracye do tronu serbskiego, na którym dynastya Karadżordżewiczów nie zbyt mocno się trzyma, a w tem oświetleniu



Ogłoszenie Czarnogóry królestwem: Królowa Milena, małżonka Mikołaja I.

przedstawi się sprawa koronacyi Mikołaja I. znacznie poważniej, niżby na oko wydawać się mogło. Kto wie też, czy marzenia o Wielkiej Serbii, któraby zjednoczyłaby wszystkich Serbów pod jednem berłem, nie są dość bliskie urzeczywistnienia.

* * *

Ogłoszenie Czarnogóry królestwem, połączone z 50-leciem rządów Mikołała I., miało przebieg bardzo uroczysty. Stolica kraju, Cetynia, przystroiła się bogato, a ruch panował w mieście bardzo żywy od wczesnego ranka. Ze wszystkich stron kraju przybyła ludność, aby uczestniczyć w radosnej uroczystości. Przybyło też bardzo wielu obcych, deputacye państw zagranicznych oraz rodziny, spokrewnione z domem panującym. Między innymi byli obecni królestwo włoscy, Wielki książę Piotr Mikołajewicz z żoną, książę i księżna Battenbergowie, następca tronu serbskiego książę Aleksander i w. i., oraz wszyscy dygnitarze czarnogórscy.



Ogłoszenie Czarnogóry królestwem: Następca tronu królewicz Danilo.



Ogłoszenie Czarnogóry królestwem: Pałac królewski w Cetynii.

Uroczystości rozpoczęły się zebraniem skupczyny, na którem na wniosek prezydenta uchwalono jednomyślnie podnieść Czarnogórę do godności królestwa. Po uchwaleniu tego wniosku członkowie skupczyny udali się gremialnie przed pałac księcia. Tam przedstawił księciu sprawę prezydent skupczyny i prosił go o przyjęcie godności królewskiej. Książę Mikołaj w dłuższej mowie oświadczył, iż czyniąc zadość życzeniom skupczyny i całego narodu, godność królewską przyjmuje i spodziewa się, że kraj jego będzie się dalej rozwijał i zajmie poczestne miejsce wśród państw kulturalnych.



Ogłoszenie Czarnogóry królestwem: Księżna Milica Jutta, małżonka następcy tronu Daniła.

Po przemowie króla obecni wnieśli okrzyk „Żivio“, poczem następca tronu Daniło ogłosił ludowi, zgromadzonemu przed pałacem, iż książę przyjął godność królewską.

Następnie odbyło się uroczyste nabożeństwo, na którem obecna była cała rodzina królewska, goście, gabinet i ciało dyplomatyczne. Po nabożeństwie nastąpiło składanie gratulacyi w pałacu, skąd udano się w uroczystym pochodzie do nowego budynku rządowego, na akt poświęcenia. Tam wypowiedział król mowę, w której skreślił dzieje Czarnogóry w ostatnich 50 latach. Przez cały czas uroczystości tych, ludność wznosiła na cześć swego władcy owacyjne okrzyki.

Następnie dokonano poświęcenia kamienia węgielnego pod szpital dla dzieci i pod ufundowaną przez królowę włoską klinikę chirurgiczną.

Popołudniu przyjmował król liczne deputacye, równocześnie zaś ulicami Cetynii przeciągały muzyki, a za niemi tłumy ludności. Wieczór odbyła się iluminacya miasta, około 9 zaś obiad galowy w pałacu.

Uroczystości w Cetynii trwać będą kilka dni, zwłaszcza że spodziewane jest przybycie jeszcze wielu osób z rodziny królewskiej i deputacyi obcych panujących.

Młodzi sportowcy.

(Do illustracyi na str. 9).

Sport w Galicyi, zwłaszcza we Lwowie i w Galicyi wschodniej, to dziś już nie frazes i nie fantazya, lecz rzeczywistość piękna i jeszcze piękniejszą mająca przyszłość. Okazało się dowodnie, że usiłowania grona ludzi dobrej woli, którzy z prawdziwym i szczerym zapałem wzywali szerokie warstwy społeczeństwa do zwrócenia uwagi na zaniedbaną u nas dotychczas sprawę wychowania fizycznego młodzieży, nie poszły na marne, lecz wydały piękne plony.

Przoduje pod tym względem Lwów, który liczy mnóstwo organizacyi sportowych i doprowadził już do rezultatów bardzo pięknych, tak że przedstawiciele sportowych klubów lwowskich współzawodniczą śmiało z najwybitniejszymi atletami innych miast monarchii, jak to było niedawno w Pradze i Wiedniu na meetingach z zakresu lekkiej atletyki, gdzie lwowscy sportowcy wysunęli się na czoło.

Dowodem dalej, jak szerokie granice zakreśla u nas sport, jest wycieczka konna adwokata lwowskiego, dra Wł. Godlewskiego, wiceprezesa oddziału konnego „Sokoła“ we Lwowie, z trzema synami, z których najstarszy liczy 15 lat, młodszy 10, a najmłodszy zaledwie 7. Wyjechawszy raniutko z Krasówki na Podolu galicyjskiem, przejechał dr. Godlewski wraz swymi młodziutkimi synami przez Toustoług, Białoskórkę, Grabowiec, Baworów, Skomorochy, Suszczyn, Łoszniów, Trembowlę, Podhajczyki i Janów i stanął około 10 przed południem w Młyniskach za Janowem, zrobiwszy w ciągu 6 godzin 45 kilometrów, z jednym odpoczynkiem 30-minutowym i jednym 15-minutowym. Tempo jazdy wynosiło przeważnie 20 minut kłusa, a 10 stempa.

Wszyscy trzej chłopcy odbyli całą drogę w doskonałej formie, a zsiadłszy w Młyniskach z koni, rozbiegli się po folwarku i przez cały dzień byli na nogach.



Ogłoszenie Czarnogóry królestwem: Armia królestwa czarnogórskiego.



Bandycki napad na propinacyę: Budynek propinacyjny w Diatkowcach pod Kołomyją. (Do artykułu na str. 8).



Bandycki napad na propinacyę: Służący propinacyjny w Diatkowcach, Michał Dresdner, poraniony przez bandytów.

Na drugi dzień tę samą drogę z powrotem odbył mecenas Godlewski z najstarszym synem i dwoma siostrzeńcami, dwunasto i dziesięcioletnim.

Tak niezwykła wytrwałość w konnej jeździe młodziutkich chłopców zasługuje na wzmiankę przedewszystkiem z tego względu, by zachęcić innych do pięknego i zdrowego sportu, jakim jest właśnie sport konny. I dlatego zamieszczamy dziś zdjęcia fotograficzne, przedstawiające mecenasa Godlewskiego z synami i siostrzeńcami.

Nauczycielstwo polskie w Szwajcayi.

Ruchliwe „Ognisko nauczycielskie“ w Krakowie, urządza co roku pouczające wycieczki dla swych członków, bądź do pięknych okolic kraju naszego, bądź też zagranicę. W tym roku wycieczka „Ogniska“ pod przewodnictwem prof. Jana Szkodzińskiego udała się do Szwajcaryi.

Uczestnicy w liczbie 50 osób zwiedzili w niespełna trzech tygodniach najpiękniejsze miejscowości Szwajcaryi. Niezwykłe wrażenie odnieśli zwiedzający przy wodospadzie Renu, najpotężniejszym w Europie. W Rapperswylu zwiedzono szczegółowo Muzeum polskie, bogate w pamiątki z czasów porozbiorowych. W muzeum tem, w osobnem mauzoleum, mieści się największy skarb: serce bohatera z pod Racławic, przed którem uczestnicy odśpiewali szereg pieśni patryotycznych.

Dzięki wyjątkowo pięknej pogodzie podziwiano ze szczytu Rigi najpiękniejszą w całych Alpach panoramę. Z kilku poznanych dolin najpotężniejsze wrażenie wywarła dolina Lauterbrunnen, pełna pięknych wodospadów, z których Staubachfall uchodzi za najwyższy ze znanych (około 400 m). Jezioro Czterech Kantonów, z pamiątkami bo bohaterze szwajcarskim, Wilhelmie Tellu, było przedmiotem szczegółowego zwiedzenia. Z miast silne wrażenie wywarły Lozanna, Genewa i Luzerna, w której zwiedzono słynny pomnik Torwaldsena, przedstawiający lwa umierającego. Wiele osób zwiedziło też górę Jungfrau aż do wysokości przeszło 3,000 m., dokąd dostać się można koleją zębatą.

W słynnej miejscowości klimatycznej Ragaz urządzono owacyę Paderewskiemu, który tam wtedy właśnie przybył na czas dłuższy.

Pomyślny przebieg wycieczek, urządzanych przez krakowskie „Ognisko nauczycielskie“, zjednał im już ustaloną sławę, nic też dziwnego, że liczba uczestników tych wycieczek rośnie z roku na rok. Po zeszłorocznej wycieczce do Włoch, która zgromadziła uczestników niespełna 30, tegoroczna wycieczka do Szwajcaryi z udziałem 50 osób oznacza znaczny postęp.



Cholera w Rosyi: Wnętrze szpitala choleryczrego w jednej z nawiedzonych zarazą okolic południowych gubernij. (Do artykułu na str. 9)

Syci najpiękniejszych wrażeń, powrócili uczestnicy wycieczki do Krakowa, wyrażając prof. Janowi Szkodzińskiemu, organizatorowi wycieczki, szczere podziękowanie za wzorowe zorganizowanie podróży.



Krakowskie nauczycielstwo w Szwajcaryi: Uczestnicy wycieczki do Szwajcaryi, zorganizowanej przez „Ognisko nauczycielskie“, z przewodnikiem profesorem Szkodzińskim (X) w pośrodku.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

16 (Ciąg dalszy).

Wrócił do salonów klubu i zadysponował obiad. Czekając tymczasem, siadł na kanapie; zauważył, że Altenheim przeszedł, zapalił więc papierosa, pociągnął trzy razy i rzucił go. Musiał to być umówiony sygnał, gdyż dwaj młodzi ludzie przyszli i usiedli przy nim; zdawało się, że on ich nie zna, ale szeptem nieznacznie rozmawiał z nimi.

Byli to dwaj bracia Dondeville, tym razem w przebraniu eleganckich światowców.

— Czy wszystko gotowe? — zapytał — zgromadziliście wszystkich naszych ludzi?

— Czekają tylko na rozkazy, mistrzu.

Sernin zastanowił się dłuższą chwilę, a potem zaczął mówić półgłosem, jak gdyby kończył swe rozmyślania:

— Tak, w tem wszystkiem jest tylko interesującem odkrycie starego Steinwega. Jeżeli się czepiam barona, który tego poczciwca skonfiskował, to tylko dlatego, że mam nadzieję zdobyć jakiś ślad. Ale jak dotąd, niema nic. A jednak niewątpliwie on musi się codziennie komunikować z tym starym. Musi robić wszystko, co można, by z niego tajemnicę wyciągnąć. Ale gdzie on go widuje? Gdzie go zamknął? Czyżby u znajomych? Nie. Steinweg musi być u niego, w willi Dupont...

— A więc co każesz, mistrzu?

— Niema co, bierzcie wszystkich waszych ludzi i wejdźcie tam.

— Ba! ale jak?

— W imieniu prawa. Czyż wy nie jesteście inspektorami w służbie policyi?

— Ależ my nie mamy prawa.

— Przywłaszczycie je sobie.

— Ale jeżeli Altenheim wróci?

— Nie wróci przed północą. Już ja się o to postaram. Macie przed sobą trzy i pół godziny — czasu dość, by przetrząsnąć cały dom i porwać starego. Weźcie automobil. Ty zaś, Jakóbie, wracaj tu co godzina i przynoś mi wieści.

Baron nadchodził, poszedł naprzeciw niego.

— Zjemy obiad, nieprawdaż? Ten mały wypadeczek w ogrodzie wytrawił mnie, głodny jestem. Co do tego, baronie, chciałbym dać panu kilka rad...

Siedli do stołu. Przez cały czas Sernin uprawiał wesołe kpiny, był zaczepny. Wyglądało to, jakby chciał ukłuć barona językiem. Tamten bronił się czasami, dotknięty do żywego. Ale książę nie ustawał.

— Może zagramy teraz partyjkę bilardu? Masz pan ochotę? Garson, cygara!

Jakób Dondewille ukazał się i podczas gdy baron zapalał cygaro, szepnął do księcia:

— Już. Czterech drabów służby związaliśmy.

— A Steinweg?

— Szukają go.

— Uciekaj!

Przy partyi bilardu Sernin był zadziwiająco zręczny, a przy tem ironiczny, uszczypliwy.

— Pójdę już — rzekł baron — mam wiele do czynienia...

— Ależ po co, zostań pan!... Przejdźmy do sali gry! Zagrajmy partyjkę bakarata!

Sernin trzymał bank. Zażądał nowych kart, stasował, rozdał.

Altenheim stawiał wysoko, zapalał się, przegrywał.

— Teraz go trzymam — pomyślał Sernin — nie ruszy się przed północą.

Gra trwała długo, zrazu ze zmiennem szczęściem, potem karta zaczęła iść Serninowi wytrwale, bez przerwy.

Altenheim wpadał w zaciekłość, nie tyle żeby się odegrać, ale z chorobliwej miłości własnej, z gniewu, z nienawiści do Sernina. Pienił się, grał nierozsądnie, dublował stawki i wciąż przegrywał.

Do jedenastej przegrał sto tysięcy franków.

Ktoś zbliżył się do Sernina i szepnął mu na ucho:

— To ja, Dondeville. Przetrząśnięto dom, ale Steinwega znaleść nie można.

— Przeszukajcie jeszcze raz i wracaj o północy. Czekam cię.

Altenheim powstał.

— Jakto baronie? Pan przecież jeszcze nie odchodzisz?

— Owszem. Potrzeba mi pieniędzy, ażeby módz panu zapłacić.

— Co tam! To załatwimy jutro. A zresztą może się karta odwróci.

— Dobrze. Ale pod warunkiem, że ja obejmę bank.

— Od ilu pan zaczyna?

— Od pięciuset luidorów.

— Trzymam.

Po chwili Altenheim odkrył swoją kartę.

— Dziewiątka.

— O szelma! oszukuje! — pomyślał książę, zasiadając do stołu — drogo to mnie kosztować będzie!

Ze względu na galeryę, przyglądającą się temu nieubłaganemu pojedynkowi dwóch graczy, nie mógł on, książę Sernin, którego wygranej wszyscy byli świadkami, nie mógł grać małemi stawkami. Wypadało stawiać wysoko.

O kwadrans po jedenastej już przegrał pięćdziesiąt tysięcy; o wpół do dwunastej stracił całą swą dotychczasową wygraną.

— Łotrze, gałganie — powtarzał w duchu Sernin — rabujesz mnie, jak zbój na rozstajnej drodze. Dość mam tego przymykania oczu. Znowu dziewiątka! O łotr! A gdybym tak dał pokój i poszedł? Ale cóż! I on sobie pójdzie i wpadnie tam, zanim moi skończyć zdążą!

O trzy kwadranse na dwunastą Sernin był przegrany na dwadzieścia pięć tysięcy franków.

Altenheim, wciąż uśmiechnięty, trzy razy zapywał księcia:

— Chce pan grać dalej?

— Owszem... owszem... gram!

I znów przegrywał, jak pierwej.

— I spojrzał na zegarek. Dwunasta. Raz jeszcze stawił i przegrał. Ujrzał wreszcie Jakóba Dondeville i powstał.

— Jutro zapłacę baronie, jutro rano.

— I cóż, znaleźliście go? — zapytał w przedpokoju Jakóba Dondeville.

— Nie. Napróżno szukaliśmy!

— Do dyabła! A ja tu wpadłem na trzydzieści pięć tysięcy franków!

— Co będzie mistrzu?

— Jadę tam sam.

— A jeżeli baron nadejdzie?

— W każdym razie mamy z dziesięć minut czasu przed nim. To mi powinno wystarczyć.

IX.

Zawrotnym pędem automobil jego podążył ku willi Dupont.

Jan Dondeville z towarzyszami czekali w progu powrotu Jakóba.

— Gdzie są czterej lokaje? — zapytał Sernin, wchodząc.

— Tam, w kredensie, powiązani, a razem z nimi kucharka.

— To dobrze. Wolę, żeby mnie nie widziano. Wy wszyscy możecie wracać do domu. Janie ty zostań na dole i czuwaj. Jakóbie, przeprowadź mnie galopem przez cały dom, tak żebym sobie zdał sprawę z całego rozkładu. Gaś za nami elektryczność.

Spiesznie przebiegł sutereny, parter, pierwsze i drugie piętro i strych. Nie przeszukiwał, bo wiedział, że ludzie jego już to zrobili, ale pilnie notował w pamięci wszystkie szczegóły rozkładu domu.

Skończywszy, wrócił do sypialnego pokoju Altenheima i bacznie się w nim rozejrzał.

— To właśnie to, czego mi potrzeba — rzekł, usuwając firankę, poza którą kryła się ciemna alkowa, zawieszona ubraniami. — Stąd widzieć będę cały pokój.

— Ale jakżeż pan stąd wyjdzie?

— Sam nie wiem, ale jakoś to będzie. Idź Dondeville, zamknij drzwi. A jutro rano poślij odemnie trzydzieści pięć tysięcy franków temu łotrowi baronowi.

— Trzydzieści pięć tysięcy franków?

— Ani grosza mniej. To dług karciany, rzecz święta. Pamiętaj o honorze książęcego rodu Serninów!

Siadł na kufereczku poza poczwórnym rzędem zawieszonych ubrań. Był tu oczywiście bezpiecznie schowany, chyba gdyby przyjść miało do przeszukiwań...

Upłynęło dziesięć minut może. Rozległ się turkot przed domem. Trzasnęły drzwi i zaraz też zabrzmiały głosy, okrzyki...

— Teraz sobie opowiadają — pomyślał Sernin. — Baron musi być wściekły... — Rozumie teraz powody mego postępowania w klubie i rozumie, że go nabrałem. I pierwsze, o czem teraz pomyśli, będzie: czy mu też zabrano Steinwega? Ażeby się przekonać, pobiegnie najpierw do jego skrytki. Jeżeli pójdzie po schodach, skrytka jest na górze, jeżeli na dół zejdzie, jest w suterenach.

Nadsłuchiwał. Gwar głosów trwał dalej, ale nikt się nie ruszał; oczywiście Altenheim przesłuchiwał swoich wspólników. Po upływie jakiej pół godziny dopiero usłyszał Sermin kroki wchodzące po schodach.

— Idźcie wszyscy spać — odezwał się głos Altenheima.

Baron wszedł do swego pokoju z jednym ze swych ludzi i zamknął drzwi za sobą.

— I ja też się położę, Dominiku. Gdybyśmy całą noc przegadali, nie zajdziemy jednak dalej.

— Mojem zdaniem on tu przyszedł, szukając Steinwega.

— I ja tak myślę i dlatego śmieję się z tego, ponieważ Steinwega tu niema.

— Ale gdzież on jest nareszcie? Gdzie pan mógł go podziać?

— To już moja tajemnica, a ty wiesz, że ja moje tajemnice chowam dla siebie. Tyle ci mogę powiedzieć, że schowany jest dobrze i że stamtąd, gdzie jest, nie wyjdzie, dokąd nie przemówi.

— Ale tamtego księcia, to wartoby się pozbyć!

— Bądź spokojny, mój stary, wkrótce ci ofiaruję portfel z jego skóry!... A teraz idę spać — upadam ze znużenia.

Dobiegł odgłos zamykanych drzwi. Następnie Sernin usłyszał, że baron zasuwa drzwi na rygiel, wypróżnia kieszenie, nakręca zegarek i rozbiera się.

Wesół był, pogwizdywał, nucił, mruczał nawet półgłosem do siebie:

— Tak, z jego skóry... i to prędko, prędko!... inaczej on nas weźmie, ten rzezimieszek!... To nic, spudłowałem dziś wieczór! A dobrze kombinował jednak... Steinweg tylko tu być może. Tylko gdzie? w tem sęk!

Położył się do łóżka i zaraz też zgasił elektryczność.

Sernin przybliżył się do firanki, odchylił ją zlekka i patrzył. Niepewne światło nocy wpływało przez okno, łóżko stało w zupełnej ciemności.

— Najoczywiściej osiadłem na lodzie — myślał. — Skoro tylko on zachrapie, ja się wynoszę...

Ale jakiś stłumiony odgłos go zadziwił, odgłos, którego sobie nie umiał wytłómaczyć, a który płynął od strony łóżka. Było to coś, jakby lekki chrzęst, zaledwie dosłyszalny.

— No i cóż, panie Steinweg, na czemże stoimy?

To baron mówił! To niewątpliwie on mówił! Ale jakimże sposobem mógł mówić do Steinwega, skoro Steinwega nie było w pokoju?

Altenheim mówił znowu:

— Więc nie chcesz gadać? Nie?... Głupcze! Trzeba jednak, żebyś wyśpiewał to, co wiesz... Nie chcesz? A więc dobranoc! Do jutra!

— Ja chyba śnię! ja chyba śnię! — powtarzał w duchu Sernin. — Albo też może to on mówi przez sen... Bo przecież jakże to? Steinwega niema przy nim, niema go w sąsiednim pokoju, niema go nawet w domu... Sam Altenheim to powiedział. A więc cóż to wszystko znaczy?

Wahał się. Czyżby może rzucić się na barona, chwycić go za gardło i siłą i groźbą wymusić to, co podstępem zdobyć się nie dało? Nonsens! Nigdy w świecie! Altenheim nie da się zastraszyć!

— Pójdę sobie — pomyślał. — Straciłem wieczór...

Nie poszedł jednak. Czuł, że nie może, że musi czekać, czy mu przypadek nie przyjdzie czasem na pomoc.

Z wszelką ostrożnością zdjął z wieszadeł parę ubrań, jakiś paltot, rozłożył je na ziemi, oparł się plecami o ścianę i usnął najspokojniej w świecie.

Baron nie był rannym ptaszkiem. Zegar gdzieś bił dziewiątą, gdy wyskoczył z łóżka i zadzwonił na służącego.

Przejrzał pocztę, którą mu przyniósł służący, ubrał się w milczeniu i zaczął pisać listy, podczas gdy służący starannie rozwieszał zdjęte rzeczy w garderobie za firanką. Sernin z gotowemi pięściami czekał, czy służący go nie zauważy.

O dziesiątej baron rzucił rozkaz:

— Idź teraz... Idź zaraz teraz i nie wracaj, dopóki cię nie zawołam.

Sam drzwi zamknął za służącym, poczekał chwilę nieufnie, a potem przystąpił do telefonu i ujął słuchawkę.

— Proszę mię połączyć z Garches, Nr. 30!

W kilka sekund później cicho, ale bardzo wyraźnie mówił:

— Halo!... Tak, to ja... nie traćmy słów niepotrzebnie... Wczoraj? Tak, nie udało ci się w ogrodzie... Na inny raz, naturalnie... Ale czas nagli... Kazał przetrząsnąć dom wczoraj wieczór... opowiem ci... Nie znalazł naturalnie... Co? Halo!... Nie, stary nie chce mówić... jeszcze raz spróbuję dziś w nocy, ale się boję... Masz słuszność... trzebaby się zoba-

czyć... na razie to niebezpieczne. Kiedy chcesz?... we wtorek? Dobrze. Przyjdę około drugiej. Zresztą możemy się przez telefon porozumiewać co rano.

Zawiesił słuchawkę, zabrał listy i wyszedł. Sernin słyszał, jak wydawał rozkazy:

— Uważajcie tym razem i nie dajcie się złapać, tak jak wczoraj. Nie wrócę przed nocą.

Trzasnęły drzwi przedpokoju, trzasnęły drzwi furtki i oddalił się turkot kół.

W kilka minut później weszło dwóch służących, otworzyli okno i sprzątnęli pokój.

Po ich odejściu Sernin wysunął się ze swojej skrytki i zaczął oglądać łóżko i ścianę, pod którą stało łóżko.

— To dziwne! to dziwne! Nic niema nadzwyczajnego. Łóżko niema podwójnego dna, pod łóżkiem niema klapy. Zajrzyjmy do przyległego pokoju.

Poszedł tam na palcach. Pokój był pusty, bez mebli.

— To nie tam mieszka ten stary... W ścianie? Nie może być! To taki cienki mur... Do licha! nic nie rozumiem!

Cal za calem badał podłogę, ścianę, łóżko, tracąc czas daremnie.

Z obawy, żeby go nie przyłapano, wrócił do swojej kryjówki i już się stamtąd nie ruszył to dumając, to drzemiąc, trapiony gwałtownym głodem. Ale postanowił czekać.

Ściemniało się. Nadszedł wieczór.

Altenheim wrócił już po północy. Wszedł do swego pokoju, sam tym razem, rozebrał się, położył i zaraz znowu zgasił elektryczność.

To samo wytężone oczekiwanie. Ten sam cichy zgrzyt niewytłómaczony. I tym samym kpinkującym głosem Altenheim zaczął mówić:

— No i jakże tam, przyjacielu? Wymyślasz? Nie, nie, mój stary, nie tego od ciebie żądamy! Złą drogę obierasz. Chcę, byś mi się dobrze wyspowiadał, zupełnie szczerze, zupełnie szczegółowo ze wszystkiego tego, co zwierzyłeś Kesselbachowi... żebyś opowiedział wszystko, co wiesz o Piotrze Leduc etc. etc...

Sernin słuchał ze zdumieniem. Tym razem trudno się było mylić, baron nie majaczył sennie, baron rzeczywiście przemawiał do starego Steinwega. Zadziwiająca rozmowa! Zdawało mu się, że podsłuchuje tajemniczą rozmowę pomiędzy żywym a umarłym, niewidzialnym, niedotykalnym, nieistniejącym...

Ironiczny i okrutny, baron mówił dalej:

— Głodny jesteś? To jedzżeż, mój stary! Tylko pamiętaj, że za jednym zamachem dałem ci cały twój zapas chleba i że jeżeli schrupiesz na dobę po parę okruszyn, starczy ci tego na jaki tydzień, na dziesięć dni najdalej... A potem... bywaj zdrów... Chyba, że tymczasem zdecydujesz się otworzyć buzię... Nie? No to zobaczymy jutro... Dobranoc, stary.

— — — — — — — — —

Nazajutrz o pierwszej, nie doświadczywszy żadnej przygody, książę Sernin wyszedł spokojnie z willi Dupont. Trochę mu się głowa zawracała, trochę mu się nogi chwiały, a idąc ku najbliższej restauracyi, tak w myśli oceniał położenie:

— Zatem w przyszły wtorek Altenheim z mordercą z Palace-Hotel mają schadzkę w Garches, w domu, który ma numer telefonu 38. Zatem tego dnia ja tych obu bandytów wydam w ręce sprawiedliwości i uwolnię pana Lenormanda, tak jak to obiecałem. Tegoż dnia wieczorem przyjdzie kolej na Steinwega i dowiem się nareszcie, czy Piotr Leduc jest czy nie jest synem rzeźnika i czy go mogę wyswatać z Genowefą. Amen.

— — — — — — — — — — — — —

We wtorek rano około jedenastej Valenglay, prezydent gabinetu, wezwawszy do siebie prefekta policyi i p. Webera, pomocnika szefa bezpieczeństwa, pokazał im odebrany przed chwilą bilet od księcia Sernina:

„Panie Prezydencie gabinetu!

„Wiedząc, jak się pan interesuje losem p. Lenormanda, chcę pana powiadomić o faktach, które przypadkiem odkryłem.

Pan Lenormand jest uwięziony w piwnicach willi „pod Glicyniami“ w Garches, obok Zacisza.

Bandyci z Palace-Hotelu postanowili zgładzić go dziś, o godzinie drugiej.

Jeżeli policya potrzebuje mojej pomocy, znajdować się będę o godzinie wpół do drugiej w ogrodzie Zacisza, albo u pani Kesselbach, której mam zaszczyt być przyjacielem.

Proszę przyjąć, Panie Prezydencie, wyrazy mego najgłębszego poważania

ks. Paweł Sernin“.

— To niezmiernie poważna wiadomość, kochany panie Weber — oświadczył Valenglay. — Dodam, że mamy wszelkie prawo ufać twierdzeniom księcia Sernina. Byłem z nim kilka razy na obiedzie. To człowiek poważny i inteligentny.

— Czy mi pan pozwoli, panie prezydencie — odezwał się p. Weber — przedłożyć sobie i ten list także, który ja również otrzymałem dzisiaj rano?

— List odnoszący się do tej samej sprawy?

— Tak jest.

Valenglay wziął list do ręki i czytał:

„Ostrzegam Pana, że książę Paweł Sernin, który



O szelma! oszukuje — pomyślał książę. —

się mieni przyjacielem pani Kesselbach, jest Arsenem Lupin we własnej osobie.

Wystarczy na to ten jeden dowód: Paul Sernin to anagram Arsena Lupin. Zachodzą tu i tam te same litery. Ani jedna mniej, ani jedna więcej.

L. M.“

I p. Weber dorzucił, podczas gdy Valenglay, zmieszany, milczał.

— Tym razem nasz Lupin znalazł godnego siebie przeciwnika. Podczas gdy on go denuncyuje, tamten nam jego wydaje. I tak lis wpada w sieci.

— Co z tego wyniknie? — zapytał Valenglay.

— To, panie prezydencie, że postaramy się ująć w sieć ich obu. I dlatego wezmę ze sobą dwustu moich ludzi.

Rozdział IV.

Surdut oliwkowy.

Kwadrans na pierwszą. Restauracya na bulwarach. Książę je śniadanie. Przy sąsiednim stole siada dwóch młodych ludzi. Książę im się kłania i zaczyna do nich mówić, jak do przypadkiem spotkanych znajomych.

— Należycie do wyprawy, co?

— Należymy.

— Ilu będzie wszystkich ludzi?

— Zdaje się, że sześciu. Każdy przychodzi z osobna. Spotkanie z p. Weberem o trzy kwadranse na drugą obok Zacisza.

— Dobrze. I ja tam będę.

— Jakto?

— Czyż to nie ja dowodzę wyprawą? I czyż to nie ja mam odnaleść pana Lenormanda, skoro ja to publicznie zapowiedziałem?

— Więc pan sądzi, mistrzu, że pan Lenormand nie zginął?

— Jestem przekonany, że nie.

— Może pan co powie?

— Tak, od wczoraj wiem na pewno, że Altenheim i jego wspólnicy zaprowadzili p. Lenormand i Gourela na most w Bougival i zrzucili ich do rzeki. Gourel utonął, p. Lenormand jakoś wypłynął. We właściwej porze dostarczę wszystkich potrzebnych dowodów.

— Ależ czemu on się nie pokazuje, skoro żyje?

— Ponieważ jest uwięziony. Jest uwięziony w piwnicach willi „pod Glicyniami“.

— Ależ skąd pan to wie? Gdzie dowody na to?

— To moja tajemnica. Mogę wam tylko powiedzieć, że efekt będzie... bajeczny! Jeżeliście skończyli, to w drogę! Mój automobil stoi za kościołem św. Magdaleny. Przyjdźcie tam za mną.

W Garches Sernin odesłał automobil i pieszo poszli aż do ścieżki, prowadzącej do szkoły Genowefy. Tu Sernin przystanął.

— Słuchajcie dobrze, chłopcy. Teraz rzecz najważniejsza. Zadzwonicie do bramy Zacisza. Jako inspektorowie policyi macie tam wolny wstęp, wszak tak? Pójdziecie do pawilonu Hortensyi, tego niezamieszkałego. Tam zejdziecie do suteryn i zobaczycie starą okiennicę, zawieszoną na ścianie, podniósłszy tę okiennicę, odkryjecie ujście podziemnego tunelu, który ja tymi dniami odnalazłem, a który prowadzi do willi „pod Glicyniami“. Tamtędy chodzili do siebie Gertruda i baron Altenheim. Tamtędy też przeszedł p. Lenormand, zanim ostatecznie wpadł w ręce swych wrogów.

— Tak pan sądzi, mistrzu?

— Takie jest moje przekonanie. A teraz słuchajcie, o co mi chodzi. Przekonacie się, czy ten tunel znajduje się dokładnie w tym stanie, w jakim był owej nocy, czy jedne i drugie drzwi, które go przecinają, są otwarte i czy w dziurze obok drugich drzwi znajduje się pakiet, zawinięty w czarną chustkę, który ja sam tam złożyłem.

— Czy mamy rozwinąć ten pakiet?

— Nie potrzeba. To jest ubranie na zmianę. Idźcie i starajcie się działać niepostrzeżenie. Czekam na was.

W dziesięć minut później byli już z powrotem.

— Jedne i drugie drzwi są otwarte, a pakiet leży na swojem miejscu — oznajmił Jan Dondeville.

— To doskonale! Jest teraz wpół do drugiej, Webera tylko patrzeć i jego ludzi. Będą pilnowali willi. Otoczę ją, skoro tylko Altenheim tam wejdzie. Ja, w porozumieniu z Weberem zadzwonię, otworzą mi i będę na miejscu. Tam... już ja mam swój plan. No, mam nadzieję, że nudzić się nie będziemy!

I Sernin, pożegnawszy ich, poszedł ku szkole, mówiąc sam do siebie:

— Wszystko układa się pomyślnie. Bitwa rozegra się na wybranym przezemnie terenie. Muszę ją wygrać. Pozbędę się obu moich przeciwników i zostanę sam przy sprawie Kesselbacha... sam, mając w ręku dwa atuty: Steinwega i Piotra Leduc. Tylko jedno zastanawia mnie. Co może robić Altenheim? Oczywiście i on mieć musi swój plan kampanii. Którędy on mnie ugodzi? I dlaczego nie zaczepił mnie dotąd? Niepokoi mnie to... Czyżby mnie zadenuncyował policyi?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowi instruktorowie Kółek rolniczych.

W rzędzie naszych instytucyi oświatowo-ekonomicznych bezsprzecznie najdonioślejszą rolę odgrywa towarzystwo Kółek rolniczych, słusznie też cieszy się ogólnem poparciem i sympatyą wśród społeczeństwa. Zasługi tej instytucyi są na polu uświadomienia włościaństwa galicyjskiego obu narodowości, a przedewszystkiem w kierunku podniesienia poziomu gospodarstwa rolnego w kraju, wprost olbrzymie.

Doprowadziwszy zaś instytucyę do potężnego a jak na stosunki galicyjskie niebywałego rozwoju, zarząd główny nie spoczął na laurach, lecz z niezmordowaną gorliwością pracuje dalej w wytkniętym kierunku, zakładając coraz nowe Kółka we wsiach galicyjskich i starając się ożywić i udoskonalić działalność już istniejących.

Jednym z objawów tej żywotności towarzystwa Kółek rolniczych i jednym z doskonałych sposobów podniesienia intenzywności pracy Kółek, są urządzane w pewnych odstępach czasu w rozmaitych stronach kraju kursy instruktorów i lustratorów Kółek rolniczych.

Ostatni taki kurs, połączony z kursem instruktorów ochotniczych straży pożarnych, odbył się niedawno we Lwowie. Udział wzięło w nim kilkadziesiąt osób, w tem bardzo wielu nauczycieli ludowych oraz jedna nauczycielka. Uczestnicy kursu zaznajomili się tam z organizacyą Kółek roliczych, z obowiązkami luscratorów i instruktorów, a nadto odbywali praktyczne ćwiczenia strażackie pod kierunkiem sekretarza związku straży pożarnych p. Szczerbowskiego.

W ubiegłym tygodniu odbyło się uroczyste zakończenie kursu, połączone z popisem, który wypadł nadzwyczaj udatnie. Obecni byli na popisie wiceprezydent krajowej rady szkolnej dr. Dembowski, radny miasta Neuman, posłowie Merunowicz i dr. Adam, dalej prezes Kółek rolniczych poseł Cielecki, wiceprezes dr. Dulęba i t. d.

Po popisie i rozdaniu świadectw zebrali się uczestnicy kursu w jednej z restauracyi na wspólną wieczornicę, którą wypełniły przemówienia i toasty na cześć instytucyi oraz zasłużonych w niej osób.

Wyścigi 10 pułku dragonów w Krakowie.

Pod sam koniec sezonu ogórkowego nadarzyła się krakowskim miłośnikom sportu gratka nie lada. Wyścigi konne — i to z totalizatorem! Urządził je na torze wyścigowym za rogatką Wolską 10 pułk dragonów, przeniesiony niedawno do Krakowa z Ołomuńca.



Wyścigi 10 pułku dragonów w Krakowie: Zwycięscy w biegu dragonów.

Za piękne widowisko sportowe należy się organizatorom wyścigów szczere uznanie. Wzorowy zaś porządek, jaki panował na torze i jaki widoczny był w całem przedsięwzięciu, powinien być przykładem dla innych organizacyi sportowych.

Przedewszystkiem jednak podnieść należy prawdziwą piękność wyścigów, na co złożyła się mnogość koni startujących, ich wytrwałość i doskonała forma w biegach, nadzwyczajna brawura jeźdźców, zwłaszcza przy braniu przeszkód. Jednem słowem były to wyścigi, jakich Kraków dawno nie widział, szkoda też, że z powodu niedostatecznego zarekla-



Nowi instruktorowie Kółek rolniczych: Uczestnicy kursu instruktorów i lustratorów Kółek rolniczych, po popisie we Lwowie, wraz z gośćmi na strażnicy miejskiej, z prezesem posłem Arturem Zarembą Cieleckim (X) w pośrodku. 1. Wiceprezydent kraj. rady szkolnej dr. I. Dembowski; 2. radny m. Lwowa J. Neumau; 3. poseł T. Merunowicz; 4. sekretarz A. Szczerbowski; 5. wiceprezes kółek rolniczych dr. Dulęba; 6. lekarz miejski dr. B. Kielanowski. Fot. M. Münz, Lwów.

mowania publiczności cywilnej stawiło się dość mało. Przybyła natomiast licznie wojskowość z komenderującym korpusu baronem Weiglem na czele.

Biegów było siedm a wszystkie z przeszkodami. Z tego pięć przeznaczono dla oficerów, jeden dla podoficerów a jeden dla dragonów. Zwycięscy oficerowie otrzymali nagrody honorowe, niektóre bardzo cenne i piękne, zwycięscy podoficerowie i dragoni nagrody pieniężne i zegarki srebrne.

Z pomiędzy wszystkich biegów najbardziej może interesującym był bieg podoficerski. Startowało 13 koni, ilość na krakowskim torze niebywała. Metę 3.200 m. przebyły wszystkie konie w czasie bardzo dobrym, przeszkody brały zgrabnie i pewnie; rzecz wprost nadzwyczajna, iż z 13 koni ani jeden nie wyłamał, ani jeden nie utknął na przeszkodzie. Dowodzi to, iż 10 pułk dragonów posiada doskonałe konie i bardzo dzielnych jeźdźców. Podobnie interesujący był bieg dragonów, których stanęło do zawodów 7, po jednym z każdego szwadronu.

Przy totalizatorze ruch był dość słaby, raz dlatego, że publiczności grającej było nie wiele, powtóre dlatego, że i ci, co byli, trzymali się w rezerwie, nie znając zupełnie koni, nie znając jeźdźców, co przy biegach z przeszkodami jest rzeczą bardzo ważną. Mimo to znalazło się kilku szczęśliwych graczów, którym ryzyko doskonale się opłaciło. Najwyższą kwotę płacił totalizator w biegu podoficerów, bo 233 koron za 10. W wspomnianym wyżej biegu dragonów na zwycięscę postawił 10 kor. jedynie inżynier Schall z Krakowa i wziął wszystkie stawki w sumie 214 koron. Szczęśliwego gracza w chwilę po podjęciu wygranej przedstawia jedna z naszych rycin.

Złote gody we Lwowie.

Rzadką dziś bardzo i istotnie niezwykłą uroczystość złotych godów święcili przed tygodniem we Lwowie, pp. Karol i Michalina z Eckhardtów d'Eckhardtsburg Kretschmerowie, rodzina znana i ceniona powszechnie.

Jubilat, p. Karol Kretschmer, liczący obecnie lat 84, przeszedł niedawno jako radca wyższego sądu krajowego na emeryturę, po 46 latach gorliwej i pełnej zasług pracy sędziowskiej. Rozpoczął ją jako młody człowiek w lwowskim sądzie krajowym, następnie służył w Husiatynie, jako adjunkt. W czasie tym trudne spadły na niego obowiązki, bo był to okres powstania styczniowego, a Husiatyn leży — jak wiadomo — na pograniczu galicyjsko-rosyjskiem. Z zadania swego wywiązał się prawdziwie po obywatelsku a swem pełnem taktu i wyrozumienia postępowaniem, zwłaszcza przy rewizyach po dworach okolicznych, zyskał ogólne uznanie wśród obywatelstwa ziemskiego.

Powołany z Husiatyna na stanowisko naczelnika powiatu w Bóbrce, spełniał chlubnie swe obowiązki naprzód w wspomnianym charakterze, następnie, po rozdzieleniu administracyi od sądownictwa, jako naczelnik sądu. Z kolei został przeniesiony jako radca sądowy do Przemyśla, a następnie jako członek trybunału apelacyjnego do Lwowa, gdzie po 17 latach dalszej służby przeszedł na emeryturę.

Wspomnieć jeszcze należy o działalności p. Kretschmera w charakterze członka komisyi egzaminacyjnych: sędziowskiej, adwokackiej, notaryalnej i skarbowej. Głębokiej wiedzy, wszechstronnie wykształcony, cieszący się w kołach prawniczych opinią znakomitego sędziego-cywilisty, odznaczał się wśród egzaminatorów wielką wyrozumiałością i łagodnością, czem sobie zjednał szczerą wdzięczność i miłość w kołach młodzieży.

Człowiek sumiennej pracy i poczucia obowiązków, wychował w tym duchu córkę i pięciu synów, którzy zajmują dziś piękne stanowiska i pracują z pożytkiem dla kraju, cieszą się też powszechnem uznaniem i szacunkiem. Najstarszy syn, Zygmunt, jest starostą, młodszy, Józef, prokurzystą filii Banku krajowego w Krakowie.



Wyścigi 10 pułku dragonów w Krakowie: Uczestnicy biegu oficerskiego o nagrodę dam, przed startem, z przeszkodami.

Z okazyi 50 rocznicy zaślubin pp. Kretschmerów odbyła się w kościele św. Mikołaja uroczysta msza św., poczem ks. prałat Gorazdowski dokonał w domu Jubilatów poświęcenia pierścionków ślubnych, a dzieci, wnuki, krewni i przyjaciele ich składali życzenia najdłuższych lat w szczęściu i pomyślności, obsypując sędziwą parę kwiatami.



Fot. M. Mituz, Lwów.

Złote gody we Lwowie: PP. Karol i Michalina Kretschmerowie w dniu złotego wesela w otoczeniu najbliższej rodziny.

Bandycki napad na propinacyę.

Okolicę Kołomyi niepokoi od pewnego czasu szajka zuchwałych rabusiów, którzy uzbrojeni w koły i siekiery urządzają formalne wyprawy bandyckie, nie cofając się w danym razie i przed morderstwem, gdy spotkają się z oporem lub próbą obrony.

Niedawno próbowali bandyci okraść urząd podatkowy w Gwoźdźcu pod Kołomyją, porozbijali biurka urzędników, nie mogąc dobrać się do kasy, a gdy nim żandarmerya poczyniła wstępne kroki celem wyszukania winowajców, już nadeszła wiadomość o drugim napadzie bandyckim, dokonanym pod Kołomyją

w Diatkowcach, na propinacyę tamtejszą, o napadzie tem groźniejszym, że połączonym z krwawym zamachem morderczym, co w całej okolicy wywołało postrach i grozę.

Diatkowce leżą w odległości kilku kilometrów koło Kołomyi. Propinacyę tamtejszą dzierżawi Izrael Freier, który z rodziną mieszka w karczmie. Otóż w ubiegłym tygodniu, w nocy na czwartek, usłyszał Freier, że w pokoju, leżącym obok sypialni, a mieszczącym wielką kasę ogniotrwałą, są jacyś ludzie. Domyślając się, że to grasują złodzieje, zbudził kilkunastoletniego syna Jakóba i posłał go po pomoc. Przemykającego się podwórzem chłopaka spostrzegli bandyci i puścili się za nim w pogoń, która jednak nie powiodła się, gdyż chłopak, znając doskonale teren, zdołał ujść między sąsiednie obejścia.

Dostawszy się szczęśliwie do domu służącego propinacyjnego, Michała Dresdnera, młody Freier obudził go, zawiadomił o napadzie na propinacyę, i wezwał na pomoc. Dresdner ruszył natychmiast ku karczmie, uzbrojony w gruby kół. Wpadłszy do kancelaryi propinacyjnej, skąd dochodził błysk światła, ujrzał tam ośmiu mężczyzn, zajętych wynoszeniem ciężkiej kasy. Równocześnie jeden z bandytów rzucił się na Dresdnera i siekierą ugodził w głowę, ogłuszając go i zadając ciężką ranę.

Uporawszy się tak prędko z nieszczęśliwym sługą, chcieli bandyci wynieść kasę na podwórze, rozmiary jej jednak nie pozwoliły na to, więc dowlókłszy kasę do drzwi i widząc, że przez nie jej nie przeniosą, spłoszeni ruchem w pobliżu karczmy, zbiegli bez śladu.

Jedyny świadek napadu, służący Dresdner, choć odzyskał przytomność, zaniemówił i nie może złożyć zeznań, tak ważnych dla śledztwa; rana, jaką mu bandyci zadali w głowę, jest bardzo ciężka i grozi śmiercią. Śledztwo więc bardzo utrudnione i toczy się powoli naprzód, żandarmerya jednak nie traci nadziei, że uda jej się wykryć sprawców obu napadów, prawdopodobnie do jednej i tej samej należących szajki.



Wyścigi 10 pułku dragonów w Krakowie: Inż. Schall, który jedyny postawił na zwycięscę w biegu koni dragonów, po podjęciu wygranej.



Młodzi sportowcy: Adwokat dr. Godlewski z synami 15, 10 i 7 letnim, po 45 kilometrowej wycieczce.



Młodzi sportowcy: Adwokat dr. Godlewski ze Lwowa s synem i siostrzeńcami.



Tryumfy i klęski awiatyki: Awiator Moisant (X) z swym mechanikiem jako pasażerem przed słynną podróżą z Paryża do Londynu.

Cholera w Rosyi.

Coraz bardziej alarmujące wieści dochodzą z Rosyi o szerzeniu się tamże cholery, której ofiary obliczają już na dziesiątki tysięcy. Właściwie nie wygasa ona tam nigdy, od czasu tylko do czasu występuje z coraz to większem nasileniem. Sytuacya staje się z dnia na dzień tem gorsza, że pomocy lekarskiej zupełny brak, a brak ten tłómaczyć sobie należy obawą tamtejszych kapłanów Esku lapa przed grożącem im niebezpieczeństwem ze strony nieoświeconego tłumu, który, podobnie jak za epidemii w czasach poprzednich, odnosił się wrogo do lekarzy.

Wobec tego posuwa się zaraza coraz dalej na zachód; wybuch jej we Włoszech, liczne wypadki w Turcyi i ostatnie wieści z Wiednia i Węgier świadczą, że przekroczyła już granicę i kilkoma szlakami posuwa się w głąb Europy.

Uniwersytety rosyjskie nie mogą nastarczyć zapotrzebowaniu medyków, którzyby objęli obowiązki lekarzy cholerycznych. Nie bardzo chętnie garną się oni do tego, a tymczasem ludność wielu nawiedzo-

nych epidemią okolic obchodzić się musi bez pomocy lekarskiej, skutkiem czego rozgrywają się tam wypadki wprost wstrząsające.

Jako illustracya tych stosunków służyć może doniesienie z jednej wsi w guberni jekaterynosławskiej. Zmarłych niema tam kto grzebać, to też trupy całymi dniami leżą po domach. Tu i ówdzie powymierały całe rodziny.

O ile w jednych miejscach brak jest pomocy lekarskiej, o tyle w drugich objęta paniką ludność odmawia korzystania z niej. Do władz jekaterynosławskich nadeszła na przykład uchwała pewnego zebrania gminnego, zawiadamiająca, że pomoc lekarska jest zbyteczna, proboszcz bowiem miejscowy dał im modlitwę, chroniącą przed cholerą.

Odmowa tej pomocy przybiera nieraz formy zbyt gwałtowne. W jednej ze wsi podpalono barak choleryczny, zbudowany przez ziemstwo. W innej nie dopuszczono oddziału lekarskiego, twierdząc, że zamiast leczyć, trują doktorzy ludzi. Przedsięwzięto też masowe aresztowania włościan za sprzeciwianie się środkom zaradczym przeciwko szerzeniu się epidemii.

W samym obwodzie wojska Dońskiego liczą 570 wsi, w których cholera czyni straszne spustoszenia, w okolicy Władykaukazu ludność masowo opuszcza wioski i udaje się w góry, gdzie zabija bydło na ofiarę jakiemuś nieznanemu bóstwu, które ma ją przed cholerą obronić.

Wobec tych warunków walka z szerzącą się zarazą jest bardzo trudna, a niebezpieczeństwo dalszego jej zawleczenia zwiększa się z dnia na dzień.

Położenie kresu niepewności i zdenerwowaniu, w jakiem trzyma ludy Europy szerzenie się cholery, staje się koniecznością, tembardziej, że pogotowie, w jakiem stać się musi wobec ciągle grożącej ewentualności wybuchu zarazy w poszczególnych krajach, kosztowne jest niesłychanie i męczące, obostrzenia zaś kwarantanny, stosowane na stacyach pogranicznych, stają się ogromną przeszkodą w ruchu kolejowym i powodują ogromne straty materyalne.



Tryumfy i klęski awiatyki: Awiator francuski Legagneux, który przed paru dniami spadł z aeroplanu i ciężko się poranił.



Tryumfy i klęski awiatyki: Angielski awiator Chavez, który w Blackpool osiągnął rekord wysokości 1755 metrów.



Tryumfy i klęski awiatyki: Słynny lot awiatora francuskiego Legagneux'a w „circuit de l' Est“, nad granicą niemiecko-francuską.

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

12

— To nieprawda, Rozo — odpowiedziałem spokojnie. — Zaprosiłaś mnie na tę przejażdżkę poprostu w tym celu, by mnie okłamać. Ale marna z ciebie kłamczyni... nie umiesz kłamać... Drogie dziecko, czyż ty myślisz, że ja nie przenikam twojej niewinnej intrygi? Pani Sullivanowa Smith coś ci opowiedziała i tobie przyszło na myśl, że jeśli mnie odrzucisz, uciszysz tem gniew tego... tego... a mnie ocalisz przed losem Alreski. Jechałaś do Emmeliny, ażeby jej się ostatecznie poradzić, gdyż ona, zdaje się, wmieszana jest w tę sprawę. Spotkawszy mnie jednak, zdecydowałaś się odrazu zdobyć na odwagę i dać mi odprawę. To było bardzo zacne i bardzo szlachetne z twej strony, Rozo. A jednak to być nie może. Nic miłości mej zachwiać nie może. Jeżeli umrę pod działaniem jakiegoś tajemniczego wpływu, no to umrę. Ale umrę, kochając ciebie i pewien zupełnie, że ty mnie kochasz wzajemnie!

Pierś jej falowała przyśpieszonym oddechem, a ręka przesunęła się do mojej i ujęła ją serdecznym uściskiem. Nie patrzeliśmy na siebie. Zdławionym głosem zawołałem na stangreta i kazałem mu stanąć. Wysiadłem. Potoczył się dalej.

Gdybym był dłużej z nią pozostał, byłbym się rozpłakał... w oczach publiczności...

Nie jadłem obiadu tego wieczora, lecz spędziłem przedwieczorne godziny, przechadzając się tam i z powrotem po zielonych alejach w pobliżu Arc de Triomphe.

Pewien byłem miłości Rozy i ta myśl mnie nieco krzepiła. Jednakże być pewnym miłości kobiety, jeżeli miłość ta nieść ma za sobą mękę i śmierć — nie jest to zaiste szczęście całkowite, ani szczęście doskonałe. To też serce moje przepełniała gorycz i rozpacz, a w duszy nędzna słabość gościła. Litowałem się nad sobą i równocześnie gardziłem sobą...

Toć ostatecznie duch nie miał rzeczywistej władzy nademną; duch nie może uderzyć, zadusić, zastrzelić... Duch może działać tylko na duszę, a jeżeli dusza tak jest słabą, że pozwala działać na siebie niedotykalnemu złudzeniu, to wtedy...

Ale jakżeż marne były te dowodzenia! Czembądź by była ta potęga, fakt, że duch ten miał władzę nademną, nie ulegał wątpliwości. Przez cały dzień, jak miecz zawieszony nad głową, czułem wpływ tego widma nad sobą. Miałem dowód na to choćby w tem, że tak niechętnie i z takiem ociąganiem się powracałem do hotelu. To, co mnie poprzedniej nocy spotkało, mogło być czysto subjektywnem przywidzeniem, hallucynacyą zmysłów, złudą mojej wyobraźni... nie mniej dla duchowego życia mojego było to czemś realnem, a przeto złowieszczem, zgubnem.

Przyszła mi nawet na chwilę myśl, że może lepiej będzie nie wracać wcale tej nocy do hotelu. Ale na co przydać się może takie unikanie? Przecież widma żadne więzy nie wiązały z tym strasznym moim salonikiem! Przecież mogło mnie dręczyć wszędzie, choćby i tutaj, na bruku ulicznym... Więc lepiej już wracać do własnego mieszkania...

Ach, stokroć gorzej... odczuwałem jakieś bolesne pragnienie ujrzeć coprędzej miejsce moich tortur...

Powróciłem tedy. Była jedenasta. Widmo czekało na mnie. Tym razem jednak nie siedziało w fotelu.

Stało owo widmo plecami do okna zwrócone i w chwili, gdym wchodził, spotkało wzrokiem mój wzrok.

Nie zamknąłem drzwi, oczu nie spuściłem z jego twarzy. Uśmiech na cienkich jego wargach jeszcze był bardziej szyderskim, jeszcze wyraźniej szatańsko tryumfującym, niż przedtem. Wyprostowane, nieruchome, nieubłagane stało tam widmo i zdawało się mówić:

— Dlaczego drzwi zostawiasz otwarte? Przecież i tak nie ośmielisz się uciekać. Nie ujdziesz z przed mego oblicza. Dziś jeszcze umrzesz ze strachu... z prostego strachu.

Z dziką zuchwałością siadłem w tymsamym fotelu, w którym ono wpierw siedziało i zacząłem palcami bębnić w stół. Potem zdjąłem kapelusz i starannie celując, rzuciłem go na pobliską sofę. Siliłem się okazać, że nic mnie nie obchodzi. Ale z chwili na chwilę, tak jak dnia poprzedniego, opuszczała mnie odwaga, tą mistyczną obecnością płoszona.

Naraz zerwałem się, natchniony świetną myślą. Zbliżę się oto do tej zjawy... postaram się jej dotknąć. Jeżeli to uczynię, ona zniknie; byłem tego pewien, że zniknie...

Wstałem przeto, ale nie zbliżyłem się do ducha. Nie mogłem wprost poruszyć się, nie mogłem kroku uczynić. Niewypowiedziany strach ubezwładnił mnie doszczętnie.

Opadłem bezsilnie na fotel.

I znowu ponowiły się przejścia wczorajszej nocy, jednakże z większem natężeniem i srożej dręczące.



Padłszy na kolana przed zjawiskiem, podniosła ku strasznemu widmu oblicze.

I znowu w męce mojej szukałem ulgi, usuwając się do sypialni; i znowu ten sam niewytłómaczony, przemożny lęk wypędził mnie stamtąd i zmusił do powrotu. I znowu padłem zmiażdżony nową i okropniejszą jeszcze grozą, jak gdyby klątwą, jak gdyby nieludzkiem jakiemś świętokradztwem. Ale teraz widmo jęło sunąć ku mnie tajemniczo, złowieszczo... Instynktowym odruchem obrony, choć skulony i tulący się do ziemi, podniosłem rękę, chcąc je odegnać... Napróżno! Zbliżało się coraz bardziej i coraz bardziej, jakimś niedostrzegalnym ruchem...

— Pozwól mi umrzeć w spokoju — szepnąłem w duszy.

Lecz ono tego nie chciało. Nie tylko chciało, bym umierał, ale chciało, bym przeszedł przed śmiercią wszystkie te duszne męczarnie i udręczenia, które duch zatracony sam przeszedł w swoich wędrówkach... Stało nademną, groźne, jak przeznaczenie. Wtem nagle spojrzało ku drzwiom i nibyto zachwiało się...

Drzwi poruszyły się w zawiasach.

Weszła dziewczyna młoda... dziewczyna w żałobie, której blada twarz i szyja odbijała śnieżną białością od czarnej sukienki; dziewczyna o niebiańskiej twarzyczce. Padłszy na kolana przed zjawiskiem, podniosła ku strasznemu widmu temu oblicze, przemienione ekstazą najgorętszego błagania.

Była to Roza...

Czyż ja potrafię opisać to, co nastąpiło potem? Mogę to ledwie nieudolnymi słowy zaznaczyć...

Tych dwoje patrzało na siebie, Roza i ten cień widmowy. Roza nie przemówiła ani słowa. Ja jednakże w osłupieniu mojem zrozumiałem teraz, że ona wstawia się za mną, że błaga o moje życie. Słodkie jej oczy przemawiały do ducha człowieka, który ją kochał za życia — do wspaniałomyślności jego — i w imię tej miłości i tej wspaniałomyślności wzywały go, by zaniechał zemsty okrutnej, której ja padałem ofiarą.

Długo... bardzo długo widmo poważnie, surowo, niewzruszenie wpatrywało się w dziewczynę. Drżałem, nadzieją i rozpaczą miotany, a tak niepewny wyniku...

Ona jednakże nie mogła uledz w tej walce. Miłość jej silniejszą była, niżeli jego nienawiść. Miłość jej nie znała trwogi. A mnie się zdawało, że noce za nocami mijają i że wieki już całe trwa ta walka ich dwojga, ta śmiertelna walka.

Wreszcie nieśpiesznym gestem ustępstwa, widmo skinęło ręką, groźne oblicze jego złagodniało w wyraz zezwolenia i zwolna zbladło, rozwiało się... znikło.

Nademną leżącym pochyliła się Roza, ramionami otoczyła mi szyję i poczułem na twarzy pieszczotę jej włosów i ciepły chrzest jej łez... radosnych łez...

. . . .

Wzruszenie jednak okazało się zbyt silnem. Nagle odbiegły ją wytężone siły — omdlała.

Podniosłem ją ostrożnie. Ułożyłem ją na sofie i w spokojnem, błogiem oczekiwaniu wyglądałem chwili, gdy otworzy oczy.

Nie umiem tu opisać uczucia nieskończonej ulgi, które rozlało się po całem mojem jestestwie na myśl, że już nie jestem ofiarą, nie jestem niewolnikiem złej i nieubłaganej mocy, lecz człowiekiem wolnym — człowiekiem, któremu żyć wolno... kochać wolno... któremu grozić przestały złe wpływy nieuchwytnych potęg. Zrozumiałem, że od chwili pierwszej wizyi, którą dojrzałem w kryształowej kuli, gdy przy pomocy Emmeliny Smith i za jej przewodem zajrzeć pragnąłem w tajniki nieznanej przyszłości — zrozumiałem, że od tej chwili nad życiem mojem zawisł jakiś cień, cień coraz złośliwszy i coraz gęstszy i że cień ten rozwiał się teraz cudownie przed świtem nowego dnia.. I dzięki składałem z pełnego serca nietylko losowi, ale tej dziewczynie, która natchnieniem i siłą miłości, oswobodziła mnie, zdjęła z mej duszy to złowieszcze opętanie.

Powieki Rozy zadrżały. Spojrzała na mnie.

— Niema go już?... — zapytała.

— Niema — odpowiedziałem. — Zdjęto z nas klątwę!

Uśmiechnęła się słodko i już tylko nasz wzrok płomienny mówił...

. . . .

— Jak się to stało, że ty tu przybyłaś?

— Wieczorem po obiedzie, siedziałam w swoim pokoju i tak myślałam... myślałam o tobie. — I nagle tak żywo ujrzałam ten pokój i ciebie i to widmo... tak żywo ujrzałam to wszystko, jak oto ciebie widzę w tej chwili. I odczuwałam cały twój lęk — przeniknęłam każdą myśl twoją i wszystkie twoje męki! I wtedy, wtedy, jakgdyby mnie natchnienie szczęśliwe nawiedziło... Wszakżeż ja nigdy lorda Clarenceux za życia o nic próżno nie prosiłam... wszakżeż on mi nigdy niczego nie odmówił... Czemużbym nie miała i teraz zanieść do niego prośby?... Zarzuciłam szal na ramiona i wybiegłam. Nie wzięłam dorożki, biegłam cały czas. Zaledwie wiedziałam, co czynię — wiedziałam tylko, że muszę cię ratować... O Karolu! wolny jesteś!

— Tyś mnie uwolniła! — odpowiedziałem.

Ucałowała mnie, a ten pocałunek tchnął nietylko czystą miłością dziewczęcia, ale i rzewną tkliwością matki.

— Odprowadź mnie do domu! — szepnęła.

Przed hotelem nawinął nam się otwarty powóz. Skinąłem na woźnicę i wsiedliśmy. Noc cudownie była łagodna i piękna na wąskiem polu nieba, pomiędzy wysokimi dachami ulicy mrugały gwiazdy jakoś porozumiewawczo. Uśmiechnąłem się do tych gwiazd... Spokój był w przyrodzie, spokój w mojej duszy.

— Nie jedźmy prosto do domu — rzekła Roza, gdy woźnica zwrócił się po rozkazy. — Sądzę, że miłoby było przejechać się trochę!

Kazaliśmy więc woźnicy jechać jak najdalej wzdłuż bulwarów, a potem Polami Elizejskiemi do Lasku Bulońskiego.

Sekwana spała, jak srebrny wąż, w obramieniu swoich opustoszałych bulwarów i tylko cichy hurkot parowca z Wersalu płoszył jej sen. Połyskiwały rzędem światła latarń gazowych... świadcząc mi, że żyje dokoła to ludzkie społeczeństwo, z łona którego już miałem być wyrwany...

A ta cudowna dziewczyna przy moim boku... jak błogo było mi z nią! Nie wiem, czy kiedy dwie ludzkie istoty tak dobrze, tak bezwzględnie, tak głęboko rozumiały się, jak my dwoje — my, co już tyle dobrego i złego przeżyliśmy razem. Więc też i nie potrzebowaliśmy trudzić się rozmową. Dusze nasze rozmawiały — rozmawiały słodko i tajemniczo wśród błogiej ciszy i mroku paryskiej nocy.

I wielu rzeczy dowiedziałem się w biegu tej przejażdżki. Dowiedziałem się, jak głęboko mnie kocha, jaki wielką jest jej odwaga, jak szczęście ją unosi. A ona znowu dowiedzieć się musiała, jak gorąco jestem jej wdzięczny — jak wdzięczność ta we mnie ponad wszystkiemi góruje uczuciami, gorącej tylko miłości ku niej nie przewyższając!

Z nad bulwarów sennej Sekwany, tak ruchliwej za dnia, a tak dziwnie milczącej po nocy, wjechaliśmy na olbrzymi plac Zgody.

I znowu toczył się gładko nasz powóz wzdłuż Elizejskich Pól. Zaledwie kilka godzin temu, jechaliśmy tą samą aleją, ale jak sprzeczne z teraźniejszemi miotały nami wtedy uczucia! Jakaż teraz pogoda i jaki spokój! Zaledwie od czasu do czasu mijał nas jakiś cicho sunący powóz, lub zapóźniony cyklista z kolorową latarką u steru. I ukazał księżyc — srebrzysty sierp nad domami... blade, łagodne promienie jego zdawały się nas błogosławić.

Wjechaliśmy wreszcie w obręb lasku Bulońskiego. Zatrzymaliśmy powóz pod arkadą drzew; leciuchny powiew wstrząsał listkami, tak że szemrały... szemrały. Dokoła zalega pustka i jakby przyciszone jakieś oczekiwanie. Roza wsunęła dłoń swą w moją rękę i wysiedliśmy przejść się nieco po pustych ścieżkach.

— Czy ty wiesz o tem, Karolu — szepnęła Roza z uśmiechem — że ja ci jeszcze czegoś nie powiedziałam?

— I czegóż to, skarbie mój złoty? — zapytałem uśmiechnięty.

— Bo może ty nie wiesz o tem?

Patrzyłem na nią wyczekująco.

— Że kocham ciebie! — szepnęła zarumieniona.

— O powtórz to jeszcze raz!... i jeszcze raz...— odpowiedziałem.

I tak przy szumie drzew, wietrzykiem kołysanych, popłynęły te pierwsze nasze zapewnienia miłości — tem słodsze i tem świętsze, że tak bolesnem okupione cierpieniem.

Wreszcie ku wielkiemu zadowoleniu woźnicy, wsiedliśmy znów do powozu i pojechaliśmy na ulicę Rivoli.

Z żalem żegnałem się z Rozą u wejścia do jej mieszkania.

— Najdroższa — rzekłem przy pożegnaniu — wracamy zaraz jutro do Anglii. Przecież ty sama jesteś prawie Angielką, wkrótce będziesz żoną Anglika. A czyż jest miasto, nad Londyn milsze?

— To brawda — odpowiedziała. — Dobrze, pojedziemy. „Opéra Comique“ obejdzie się bezemnie. A ja przez dłuższy czas teraz nie zaangażuję się nigdzie. Mniejsza o pieniądze. I ja mam ich dosyć i ty także... Zresztą tak łatwo o nie, gdy komu Bóg dał takie gardło, jak moje...

— Tak — odpowiedziałem. — Zrobimy sobie wakacye po ślubie. Pojedziemy w moje rodzinne strony, tam gdzie się ścielą liliowe pola wrzosowisk... Lecz dziecko moje, ty znów wkrótce zapragniesz śpiewać. Przecież w tem życie twoje!

— Nie — odpowiedziała — ty jesteś życiem mojem, nie zaprzeczaj mi!

Po chwili jednak dodała:

— Ale być może, że śpiew jest także cząstką mojego życia. Tak jest... nie przestanę śpiewać!

I powiedzieliśmy sobie dobranoc.

. . . .

O przejściach tych moich przed ślubem z Rozą nie lubiłem nigdy wspominać. Gdy jednakże w parę lat później opisane tu wspomnienia dałem do przeczytania mojemu bratu, dotknął mnie przykro sceptyczny uśmiech, z jakim mi zwrócił pamiętnik.

Lekarzem także był mój brat. Kochaliśmy się bardzo, pomimo różnicy usposobień. Trzeźwiejszy on był odemnie, bardziej zrównoważony i mniej pobudliwą miał wrażliwość.

Popatrzył na mnie i pokiwał głową.

— Karolu — rzekł — czyż rzeczywiście nigdy na myśl ci nie przyszło, czem w życiu twojem był ten dramatyczny epizod?

Podniosłem oczy zdumiony.

— To opętanie twoje... to prześladujące cię widmo?

Zdziwienie moje wzrastało.

— I nigdy, nigdy nie zdałeś sobie sprawy, że Emmelina Smith...

— Emmelina?...

— Że to ona — sama, przejęta zabobonną wiarą w astralny, pozagrobowy byt lorda Clarenceux— wciągnęła ciebie suggestyą magnetyczną w krąg swoich własnych przywidzeń?

— Co mówisz! — zerwałem się; było mi, jak gdyby mnie kto ze snu przebudził. Chciałem poprostu oczy przecierać, tak jaskrawe światło olśniło je nagle.

Mój brat spokojnie zapalił cygaro.

— Ta kobieta, organizacya widocznie silniejsza nerwowo, suggestyonowała w dobrej wierze was wszystkich... Znasz z teoryi te objawy...

— Tak... z teoryi... zapewne... — bąknąłem.

— Zasuggestyonowała Alreskę... zasuggestyonowała i ciebie.

— Biedny Alreska! On to przypłacił życiem!

— I ty byłbyś to życiem przypłacił!... I w tem się nie mylisz, mój drogi. Ciebie ocaliła Roza!

— I miłość jej. Niech Bóg jej to nagrodzi!

— I twoja własna miłość ku niej... ta zdrowa, żywotna, silna potęga, która z śmiertelnego obłędu duszę twą wywiodła!

Koniec.

ARNOLD GALOPIN.

ZAWIKŁANA SPRAWA.

1

Rozdział I.

W owo gorące popołudnie czerwcowe siedziałem właśnie w saloniku w domu mym w Broad-West, w kółku paru dobrych znajomych, Michała Perkinsa, mego szkolnego kolegi, Gilberta Crawforda, milionera, sąsiada mojego ze wsi i ślicznej miss Edyty.

Nie jestem romansopisarzem, lecz tylko prywatnym detektywem, nie potrzebuję więc rozpisywać się o tej panience. To zaś będzie ważniejszem do nadmienienia, że była to niedziela i że graliśmy w bridge'a.

Graliśmy tedy w bridge'a, a pan Crawford, milioner, właśnie wyszedł w dziesiątkę treflową, gdy w tej samej chwili stary Jim, mój służący, zapukał trzy razy do drzwi.

— Masz tobie! Znowu alarm! — zawołał Michał Perkins, z wściekłością rzucając karty — i to właśnie w chwili, gdy gra zaczynała być ciekawą.

— Zbierz karty, Perkins — rzekłem, powstając — to może tylko krótki interes.

Po tych słowach wyjąłem zegarek i dodałem:

— Nasz przyjaciel Crawford wyszedł w trefl... trefl, koniczynka, to wróży szczęście, wróży nadzieję... Spodziewajcie się więc, że wrócę, ale nie liczcie na to za bardzo. Ta karta, to treflowa dziesiątka... Zatem tedy czekajcie na mnie dziesięć minut, a jeżeli nie wrócę po upływie tego czasu, grajcie sobie dalej bez waszego sługi!

Powiedziawszy to, pożegnałem moich gości i przeszedłem do gabinetu.

Czekał tam na mnie jegomość, w którym odrazu poznałem inspektora policyi. Ci panowie, jak lekarki wiejskie, wtedy wzywają doktora, kiedy już swem niedoświadczeniem wszystko zdążyły popsuć. O, miałem ja z nimi nieraz do czynienia!

— Jak się pan miewa, panie Mac Pherson! — rzekłem. — I cóż tam? Znów jaka zbrodnia?

— Niewiadomo, panie Dickson.

— Śmierć w każdym razie?

— Tak, panie Dickson.

— Tajemnicza?

— Tak twierdzą jedni... drudzy są wręcz przeciwnego zdania.

— O co chodzi, krótko mówiąc?

— Oto tak... Musiał pan z pewnością słyszeć o panu Hugonie Chancer... pan wie, ten stary oryginał, który mieszkał w willi Green-Park...

— Naturalnie... więc cóż, ten pan Chancer umarł?

— Jakto? To już pan o tem wie?

— Ależ dowiaduję się właśnie od pana... Mój panie, chcesz mi opowiedzieć o jakiejś podejrzanej śmierci i zaczynasz od tego, że wspominasz pana Chancer... Nie trudno odgadnąć, że pan Chancer jest tu ofiarą. Mów pan dalej, proszę.

— W istocie znaleziono pana Chancera bez życia, dziś rano w jego gabinecie. I sądziliśmy zrazu, pan nadinspektor Bailey i ja, że to śmierć naturalna, dopiero zeznanie, które złożyła pewna służąca, powikłało wszystko... Ketty — tak na imię tej służącej — twierdzi, że około północy z gabinetu swego pana słyszała dolatujące wołanie o ratunek. Twierdzi nawet, że widziała w świetle księżyca, człowieka, wdrapującego się na mur, ogradzający park... Wszystko to brzmi bardzo dziwacznie i przyznam się panu, że nie wierzę w to nic a nic.

— A na czem się pan opiera, panie Mac Pherson, że pan tak z góry odrzuca twierdzenia tej Ketty?

— Na czem? Mój Boże! Najpierw na mojem doświadczeniu, a potem na mojem dochodzeniu. Żeby się dostać do pana Chancer, musieliśmy, Bailey i ja, najpierw drzwi wyłamywać od jego gabinetu, gdyż zamknięte były z wewnątrz na silny, stalowy rygiel. I okna były szczelnie pozamykane. Podług mnie, widzi pan, pan Chancer, który był tęgi i krwisty, umarł na apopleksyę. Ponieważ jednak padło to słowo „zbrodnia“, a sąsiedzi zmarłego domagają się pańskiej interwencyi, przyszedłem więc z rozkazu Bailey'a zapytać, czy nie chciałby pan zająć się tą sprawą.

Skinąłem głową przytwierdzająco.

Interesował mnie ten wypadek. Już to, co usłyszałem, dawało mi znowu miarę nieudolności policyi. Nacisnąłem dzwonek elektryczny. Wszedł mój służący.

— Jim — rozkazałem — podaj mój długi paltot piaskowy.

— Na ten upał, panie Dickson?

— Dawaj bez gadania — odpowiedziałem.

Zeszliśmy na dół. Na dole stała dorożka, w niej ujrzałem siedzącego nadinspektora. Szanująca się osoba lękała się widocznie skompromitować władzę, gdyby osobiście był poprosił dyletanta o pomoc; dla tego wysłał do mnie pomocnika.

— Witam pana, panie Dickson — odezwał się chłodno.

— Witam pana, panie Bailey... No i cóż, potrzebujecie panowie mojej pomocy?

Nadinspektor lekko wzruszył ramionami, co można było rozmaicie tłómaczyć, ale ja uśmiechnąłem się tylko, przywykły do nieświetnych manier tego źle wychowanego człowieka.

W chwili, gdy już miałem wychodzić z bramy, dopomógł mi mister Crawford.

Mój sąsiad, bogacz, miał kapelusz na głowie i minę trochę zmieszaną.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Pod znakiem trójprzymierza: Austryacki minister spraw zagr. hr. Aehrenthal.

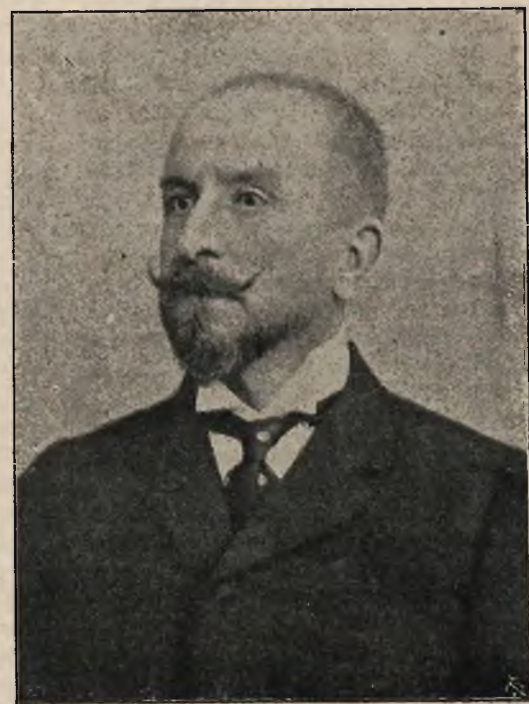
Pod znakiem trójprzymierza.

W myśl zasad kurtoazyi politycznej, która nakazuje sprzymierzeńcom urządzanie od czasu do czasu przyjacielskich zjazdów, choć jeden chętnieby drugiego utopił w łyżce wody, spotkali się w Salzburgu kierownicy zagranicznej polityki Austro-Węgier i Włoch, hr. Aehrenthal i markiz di San Giuliano. Stosunek pomiędzy Austryą i Włochami jest nader dziwny. Na papierze oba te państwa należą do trójprzymierza, o Włochach jednak można powiedzieć, iż tkwią tu tylko jedną nogą, drugą zaś w tak zwanem trójporozumieniu, które ma być przeciwwagą trójprzymierza. Wzajemna nieufność cechuje obopólny stosunek sprzymierzeńców, antiaustryackie demonstracye należą do najpopularniejszych na półwyspie apenińskim.

Aby jednak zadość stało się zwyczajowi, iż każdoczesny kierownik polityki zagranicznej każdego z państw, należących do trójprzymierza, ma odwiedzić sprzymierzone dwory, przybył onegdaj do Salzburga margrabia di San Giuliano w odwiedziny do hr. Aehrenthala. Że wizyta ta miała charakter polityczny, świadczy o tem obeność szefa jego gabinetu. Na dworcu powitał go poseł włoski we Wiedniu, hr. Avarna, poczem minister udał się do hotelu *de l' Europe*.

Następnego dnia odwiedził on hr. Aehrenthala i konferował z nim półtory godziny, popołudniu obaj ministrowie odbyli wycieczkę automobilem, a wieczorem odbył się obiad na cześć włoskiego ministra. Po obiedzie, który trwał do godziny 11 w nocy, udali się ministrowie do swych apartamentów, a we środę miały się odbyć w dalszym ciągu ich narady.

Według pism włoskich, spotkanie to nie jest potrzebne dla umocnienia dobrych stosunków między obu państwami, wypływa jednak z tradycyi i daje tę korzyść, że może przyczynić się do wyjaśnienia wielu nieporozumień drobnej wagi n. p. zajść granicznych, które uniknąć się nie dadzą. Rzeczywiscie też postanowiono ustanowić specyalną komisyę polityczno-wojskową która ma zbadać te zajścia. Jak wogóle zresztą widać, nie dzieli Włoch



Pod znakiem trójprzymierza: Kierownik zagranicznej polityki włoskiej, margrabia di San Giuliano.

od Austryi taka przepaść, jakby ją mieć chcieli zaślepieni ideałami irredentystycznymi włoscy szowiniści.

Włoski minister miał też w Austryi maleńkiego pecha. Podczas przejazdu przez Rosenheim wykoleił się z powodu złego ustawienia zwrotnicy tender lokomotywy. Nikt nie odniósł z tego powodu rany, pociąg jednak spóźnił się o godzinę.



Pożar w warstatach kolejowych w Przemyślu: Straż pożarna kolejowa przy pracy nad ugaszeniem ognia w warstatach kolejowych w Przemyślu. (Fot M. Todt, Przemyśl).

Kronika tygodniowa.

(Kanikularne objawy. — Wybuch zarazy pyskowo-racicowej. — W następstwie podrożenie mleka i sera. — Hygieniczne jajka. — Kanikuła w Poznaniu i Królewcu. — Dwudziestu trzech wybranych. — Credo cesarza Wilhelma. — Jak się społeczeństwo na to zapatruje. — Narzędzie Boga w tarapatach. — Oburzenie prasy. — Dobre rady cesarza dla kobiet. — Znowu mowa w Malborgu. — Zoologiczne porównanie. — Oświadczenie Bebla. — Uroczystości czarnogórskie. — Znaczenie obu zdarzeń. — Zbliżanie się jesieni. — Cholera. — Początek roku szkolnego. — Dawniej a dziś.)

Kanikuła działa, jak wiadomo, bardzo ujemnie na różne czworo- i dwunożne istoty, które w tym czasie zapadają na najrozmaitsze, mniej lub więcej niebezpieczne, dolegliwości. W żadnym jednak roku skutki i następstwa jej nie były tak fatalne, jak w bieżącym, choć właściwie gorąco nie daje nam się tak we znaki, jak to było ongiś, kiedy to i słońce jaśniej świeciło i lepiej dogrzewało, niż dzisiaj.

Jednym z jej objawów jest wybuch zarazy pyskowo-racicowej w nadgranicznych powiatach Królestwa Polskiego. skutkiem czego zamknięto granicę austryacką dla dowozu nabiału z tamtych stron, co znów wpłynęło na podniesienie się w Krakowie cen targowych tych produktów. Nie pomogły jednak środki zaradcze, zastosowane zbyt późno, epidemia przeniosła się i w granice Wielkiego Księstwa Krakowskiego. My, dwunożni obywatele, trzęsiemy się ze strachu przed cholerą, czworonożni nasi żywiciele krowiego rodu mają także zgryza. Miła więc czeka nas perspektywa. Jeśli nie wspomni się o podrożeniu mięsa i pieczywa, kolej przychodzi na masło i ser. Najpoczciwsze są nasze niewinne kurki. Te znoszą jajka w hermetycznie zamkniętych skorupkach, chyba więc żaden bakcyl wleść do środka nie potrafi. Ale i to nie jest wcale pocieszającem, jajka, jako najhygieniczniejszy pokarm, podskoczą także zapewne w cenie, zresztą i kury, dowiedziawszy się skądś o swej ważności i znaczeniu, jakoś pozadzierały łby do góry i coraz niechętniej znoszą jaja, przyprawiając tem swe właścicielki o czarną melancholię lub żółtaczkę.

Najbardziej jednak dała się kanikuła we znaki na obszarze ziem polskich, podległych obecnie berłu Hohenzollernów. Początkiem była uroczystość poznańska, która przecież przeminęła jakoś spokojnie. Dała ona sposobność dwudziestu trzem Polakom do zgięcia karku przed władcą, pod którego przodków rządami, ta „niemiecka“ prowincya zakwitła do tego stopnia, że Poznań mógł awansować na rezydencyę jego królewskiej mości. W uznaniu lojalności owych dwudziestu trzech, którzy wycierali królewskie przedpokoje, aż dwu z nich zamianowano szambelanami, przyjmowano jednak wszystkich w osobnym pokoju, do którego zamknięto drzwi podczas wygłaszania przez cesarza toastu. Stało się to prawdopodobnie dlatego, aby nie draźnić Niemców widokiem Polaków, w czasie bowiem kanikuły jest to bardzo niebezpieczne, jak stwierdzają jednozgodnie wszystkie powagi w dziedzinie weterynaryi, tak krajowe, jak i zagraniczne.

Mowa cesarza była, jak już w poprzedniej kronice wspomniałem, bardzo wodnista, co miało mieć związek z budową austryackich kanałów lub z długim pobytem na morzu, w czasie którego nasiąknął władca wszech-Niemców nadmiernie wilgocią. Zaczęto też przypuszczać z jednej strony, że polityka antipolska ulegnie zmianie, z drugiej znów oburzano się, że cesarz porządnie nie nawymyślał Polakom, tak jakby tego pragnęli hakatyści. Sądzono, że Wiluś zażył na zatrzymanie popędów oratorskich i że po tylu niefortunnych występach politycznych da sobie nareszcie spokój. Zawiedziono się jednak srogo, gdyż już w kilka dni później wygłosił w Królewcu dwie mowy, z których zwłaszcza jedna przeszła do historyi. Jest to już trzeci objaw gadatliwości Hohenzollernów. Pierwszym był słynny interwiew z przed dwu lat, zamieszczony w „Daily Telegraph'ie“, drugim przyjacielski list do prezydenta Nikaraguy, już w obecnym kanikularnym sezonie (który w Berlinie trwa z zasady cały rok), trzecim niefortunna mowa królewiecka.

Treść jej jest bardzo krótka i bardzo znamienna ze względu na to, że po raz pierwszy dopiero wygłosił cesarz tak otwarcie swe polityczne *credo*. Powiedział mniej więcej, co następuje:

„Panowie! Ja jestem cesarzem i królem z Bożej łaski! Od Boga otrzymałem koronę a nie od żadnego parlamentu, wobec czego uważam się za „narzędzie boskie“. Dlatego też konstytucya jest dla mnie *für die Katz*, parlament *für die Katz*. — Hurra! hurra! hurra!“

Niewątpliwie wywoła ta mowa w parlamencie dyskusyę bardzo gwałtowną i nie pozbawioną praktycznych następstw. Wobec oświadczeń, złożonych w parlamencie po ogłoszeniu słynnego interwiewu z przed dwu lat, bardzo jest możliwem usunięcie się lub obalenie kanclerza Rzeszy, według nich bowiem przyrzekł cesarz wówczas księciu Bülowowi, że w przyszłości będzie powstrzymywał się od wystąpień niekonstytucyjnych. Gdyby to nie nastąpiło— dodał wówczas Bülow — to ani ja, ani żaden mój następca nie mógłby ponosić odpowiedzialności. Faktem jest, że o treści mowy cesarskiej kanclerz Bethmann Hollweg nic nie wiedział i wobec tego zaczyna już pakować manatki a po cichu stara się o jakiejś zajęcie, choćby nawet przy krakowskim magistracie, tutaj bowiem nie będzie odpowiedzialnym wcale za przemowy i czyny swego przełożonego.

Wzburzenie, spowodowane mową cesarską, jest daleko większe, niż przed dwoma laty. Tym razem nawet prasa konserwatywna nie godzi się na tak energiczne podkreślenie dążności despotycznych, a nawet „Tägliche Rundschau“, sympatyzująca z ruchem wszechniemieckim i do szpiku kości monarchiczna, występuje z taką krytyką słów cesarskich, wobec której bledną protesty wolnomyślne i liberalne.

Jeden tylko punkt mowy królewskiej przemawia mi do przekonania, to jest ten, który odnosi się do kobiet. Cesarz twierdzi, że kobieta nie jest stworzoną do gonienia po zgromadzeniach i wiecach, lecz do cichego domowego życia, które może sobie bardzo łatwo uprzyjemnić cerowaniem pończoch dzieci i skarpetek męża oraz przyszywaniem guzików do rozmaitych części garderoby. Zyska sobie przez to dozgonną wdzięczność małżonka i spokój domowy, który tak przecież jest pożądany w małżeństwie. Na jedno tylko zgodzić się nie mogę, to jest na wezwanie, by kobiety bez namysłu wstępowały w ślady nieboszczki królowej Luizy, która jak wiadomo, poświęceniem swem w Tylży uratowała Prusy i dynastyę.

Wobec gwałtu, jaki podniosły po przemowie gazety i czynniki polityczne, zwąchał Wiluś, że znowu strzelił bąka, co zresztą częściej mu się zdarza. Ponieważ jednak ma w osobie kanclerza tak zwanego „redaktora od kozy“, który za niego przed parlamentem odpowiada, dlaczegóż nie puścić wodzów wybujałej wyobraźni? Spostrzegł jednak cesarz, że zaszedł za daleko i żal mu się zrobiło Bethmanna Hollwega, który ze strachu przerwał urlop i zjechał do Berlina. Aby więc osłabić wrażenie poprzedniej mowy, skorzystał cesarz ze sposobności, jaka się za dwa dni nadarzyła w Malborgu i kropnął mówkę, w której widocznie stara się zatrzeć fatalne wrażenie poprzedniej. Wypowiedziane tam poglądy o boskości swego posłannictwa starał się cesarz w Malborgu sprowadzić do pojęć chrześcijańskich. Między innemi oświadczył, że niemczyzna i chrześcijaństwo są nierozdzielne, że pracuje z najwyższego rozkazu Boga, a tak sądzi chyba każdy chrześcijanin... Nie udało się jednak, wrażenie wywołane pierwszą mową nie da się tak prędko zatrzeć, zwłaszcza że jest wodą na młyn wszystkich stronnictw opozycyjnych, a tych w Niemczech, ani w Prusach nie brakuje. Usiłowania cesarskie przypominają starania poczciwego kotka, który łapką ściera kurz z podłogi na jedną kupkę, aby w ten sposób ukryć ślady swej bytności. Zazwyczaj jednak i jemu się nie udaje; gospodyni wszedłszy do pokoji, tylko raz wciągnąwszy nosem powietrze, chwyta za trzepaczkę i rozpoczyna polowanie na faworyta...

Najcharakterystyczniejszą była odpowiedź Bebla, do którego zwrócił się sprawozdawca jednego z pism londyńskich z telegraficzną prośbą o poinformowanie, co on sądzi o tej mowie. Bethmann na podobne zapytanie nic nie odpowiedział, czuł bowiem, że zbliża się dlań godzina sądu, Bebel był nader otwartym i doniósł odwrotnie, że właśnie mowę cesarską przeczytał. Zakończył zaś zdaniem: Ci Hohenzollernowie nigdy się już nie poprawią!

Tego mniej więcej zdania jest i reszta rozsądnych polityków, tak niemieckich jak i zagranicznych, podnoszą się nawet głosy, które twierdzą, że z chwilą, gdy wstąpi na tron następca (on także lubi mówić, ale na komersaah, uroczystościach akademickich i podobnych), będzie zupełnie inaczej. Ha! Daj im Boże!

Opatrzność srogo jednak dotyka dynastyę pruską, przysłowie bowiem twierdzi, że kogo chce Bóg ciężko ukarać, temu najpierw odbiera rozum!

Kanikularne nudy rozprószyły również uroczystości cetyńskie, które wypadły bardzo wspaniale przy łaskawym współudziale różnych głów mniej lub więcej ukoronowanych. Były książę, dzisiaj król, zaśpiewał znaną aryę z operetki „Mikado“: Poddani cieszcie się, że królem macie mnie! czem wywołał niebywały entuzyazm, cała ludność wraz z gośćmi drapała się z radości w różne okolice.

Zestawiając ze sobą te dwa fakty, które zajęły w ostatnich czasach uwagę polityków, przychodzimy do przekonania, że oba właściwie mają wielkie znaczenie. Wystąpienie cesarza Wilhelma dało nowy dowód, że pragnąłby on wstąpić w ślady rzymskich cezarów, na co ludność nigdy się nie zgodzi, a każdy podobny występ przyczynia się raczej do osłabienia, niż wzmocnienia powagi panującego. Królestwo czarnogórskie nie jest też bez znaczenia, zwłaszcza dla sąsiadów, Serbów, gdyż wobec tego upada nadzieja doprowadzenia do skutku idei wielko serbskiej pod berłem Karageorgiewiczów. Król Piotr dość też niechętnie spieszył na dwór swego byłego teścia, niesprawdzoną jest także wiadomość, czy książę Aleksander poślubi którą z księżniczek czarnogórskich. Austrya i Turcya, najbardziej może interesowane w sprawach czarnogórskich, nie założyły swego *veta*, sprawa więc przynajmniej dla nich, musi być podrzędniejszego znaczenia.

Na ogół jednak biorąc nie należy się obawiać, aby wobec zaszłych faktów zmieniły się konstellacye polityczne w Europie, powoli przejdziemy i nad nimi do porządku dziennego, tak, jak pogodziliśmy się (nawet marszałek Czecz) z rozszerzeniem naszego Krakowa, który mamy wobec zbliżającej się jesieni, należycie rozkopany w różnych stronach miasta. Jak wiosnę zwiastuje przybycie ptactwa przelotnego, tak jesień zapowiada w Krakowie rozkopanie ulic, a w ślad za tem i deszcz, co przyczynia się do ożywienia handlu, każdy bowiem, chce, czy nie chce, zaopatrzyć się musi w kalosze.

Nie na żarty grozi nam także cholera, która zagląda do Galicyi od strony Tomaszowa, Brodów, Podwołoczysk, Rumunii, Węgier i Wiednia, tak że właściwie nie wie człowiek, gdzie się przed nią uchronić. Alarmujące wieści z zagranicy przyczyniają się także do wzmożenia się obawy u ludności, która i u nas dotąd jeszcze posądza lekarzy, że trują chorych na cholerę, grzebią ich żywcem i o podobne bzdurstwa, w które, niestety, wierzą nawet ludzie, mający pretensyę do pewnej inteligencyi. Jedną korzyść odniesiemy może z cholery, to jest miasto nieco się wyczyści, kto bowiem nie widział „patyny“ starożytnej w zaułkach Kazimierza i Stradomia, ten ani nie ma pojęcia, jak tam wygląda hygiena. To jest idealne gniazdo cholery, nie wiem nawet, czy nie odpowiedniejsze i sympatyczniejsze dla niej, niż jej właściwa ojczyzna w błotach nad Gangesem.

W dniu, w którym P. T. Czytelnicy dostaną „Nowości“ do rąk, rozpocznie się nowy rok szkolny w naszych zakładach naukowych. Zewsząd ściągają tłumy młodzieży żądnej wiedzy, która śpieszy do tych krynic, z których ma czerpać ożywiający na przyszłość napój. Ciężka czeka ją tu praca, niechaj jednak nie zraża się zawczasu, lecz postępuje naprzód, ku tym wzniosłym ideałom, jakie wskazują jej nasi wielcy poeci! Mozolna praca, nieraz może o chłodzie i głodzie, wyda plon obfity, dzisiejsza młodzież wypełni z czasem luki w szeregach pracowników dla dobra ojczyzny! Szkołę życia przejść jednak musi każdy. Kto za młodu nie nauczył się pracować i na storość pracy się nie chwyci, ale będzie pasożytem, żyjącym kosztem drugich!

X.

Uzbrojenie nurków.

Każda flota posiada w gronie swoich marynarzy zastęp specyalnie wykształconych nurków, którzy w razie potrzeby spuszczają się w przeznaczonych do tego ubraniach pod powierzchnię wody, bądź celem poszukiwań na dnie morza, bądź celem naprawienia okrętu, uszkodzonego w czasie podróży w części zanurzonej w wodzie.

O ile taka „wyprawa" nurka odbywa się w pobliżu wybrzeży, niebezpieczeństwo jest minimalne. Inaczej jednak przedstawia się sprawa, gdy nurek musi iść na dno morza w stronach dalekich od wybrzeży, gdyż tam czeka na śmiałka mnóstwo niebezpieczeństw w postaci rozmaitych potworów, w szczególności rekinów, które bardzo chętnie spożywają mięso ludzkie.

Obecnie znaleziono radę przeciw niebezpieczeństwu takich wypraw pod powierzchnię morza, w postaci specyalnego uzbrojenia nurków. Główną broń nurków stanowić będzie obmyślana przez niemieckiego kapitana Gröbla strzelba, wyrzucająca za pomocą zgęszczonego powietrza prąd wody z tak wielką siłą, iż musi odstraszyć każdego potwora.

Rycina nasza przedstawia właśnie nurka w głębi morza, broniącego się wystrzałem z takiej strzelby przed grożącym mu potworem morskim.



Chińska dzielnica w Nowym Jorku: „Corso" z kawiarniami i restauracyami w „Chinatown".

Pływająca forteca.

Współzawodnictwo między Anglią a Niemcami na polu udoskonalenia marynarki wojennej i jej uzbrojenia pochłania olbrzymie, bajońskie wprost sumy, gdyż każde z tych mocarstw pragnie na tem polu przewyższyć drugie i zabezpieczyć sobie zwycięstwo w razie starcia orężnego. Mimo szalonych jednak wysiłków niemieckich, Anglia przoduje zawsze na morzu i prawdopodobnie nie da się nigdy ani nikomu wyprzedzić.

Właśnie niedawno wykończono i spuszczono na morze olbrzymi statek wojenny „Minas Geraes", który przedstawia się jak prawdziwa pływająca forteca, tak wielkich jest rozmiarów i tak wspaniałe posiada uzbrojenie. Dość rzucić okiem na rycinę naszą, która przedstawia część pokładu i wieżę okrętową, aby mieć pojęcie o sile, jaką taki okręt stanowi.

Dla takich potworów morskich groźne mogą być chyba aeroplany, o ile zostaną tak udoskonalone, iż znajdą praktyczne zastosowanie na wypadek wojny.

Pożar w warsztatach kolejowych w Przemyślu.

(Do illustracyi na str. 13)

We wtorek bieżącego tygodnia o godzinie 11 przed południem wybuchł w warsztatach kolejowych w Przemyślu groźny ogień. Straż kolejowa pod komendą pp. Nogi i Geolokaja, a przy współudziale straży ogniowej miejskiej, zdołała po całogodzinnej usilnej pracy ogień zlokalizować i niedopuścić do dalszych zabudowań. Mimo to szkoda jest bardzo znaczna i wynosi kilkadziesiąt tysięcy koron.

Z jakich powodów pożar powstał, na razie nie wiadomo, być może jednak, że dalsze śledztwo stwierdzi jego przyczyny.



Uzbrojenie nurków: Nurek uzbrojony w strzelbę, pomysłu kapitana Gröbla, działającą za pomocą zgęszczonego powietrza.



Pływająca forteca: Część pokładu i wieża najnowszego pancernika angielskiego „Minas Geraes".



Chińska dzielnica w Nowym Jorku: Apasze na ulicy w „Bowary“.

Zaznaczyć jeszcze należy, że założona przez radcę Bartelmusa, inspektora warstatów w Przemyślu, tamtejsza straż pożarna kolejowa poraz pierwszy miała sposobność wykazać swe uzdolnienie i uczyniła to bardzo chlubnie.

Tryumfy i klęski awiatyki.

(Do illustracyi na str. 8 i 9.)

Coraz wspanialsze, coraz piękniejsze wyniki notują pisma w dziedzinie awiatyki. Zupełny podbój powietrza, opanowanie niezmierzonych przestworów powietrznych, zdaje się coraz bliższem urzeczywistnienia.

Nowym etapem w zwycięskim, tryumfalnym pochodzie awiatyki, po wspaniałym konkursie lotniczym „circuit de l' Est“, urządzonym przez redakcyę „Matin'a“, jest słynna podróż awiatora amerykańskiego Moisanta z Paryża przez kanał La Manche do Londynu.

Kiedy w Paryżu rozeszła się wiadomość o zamierzonym locie Moisanta, zebrał się na polu wzlotów olbrzymi tłum ludności. Przypatrywano się gorączkowym przygotowaniom awiatora i jego mechanika, obserwowano aeroplan i dyskutowano namiętnie nad kwestyą, czy stosunki atmosferyczne pozwolą śmiałemu awiatorowi podjąć podróż w zapowiedzianym terminie. Gorętszej i śmielszej natury panie otoczyły zwartem kołem przystojnego Moisanta i podsuwały mu pamiętniki, kartki korespondencyjne, notesy z pośbą o podpis. Zdenerwowany awiator nie odmawiał uprzejmym choć natarczywym prośbom i podpisywał się tak długo, aż mechanik dał mu znać, że aeroplan zupełnie gotów do lotu.

Zająwszy wraz z mechanikiem Garrosem miejsce w aeroplanie, wzbił się Moisant wnet w górę i zniknął z oczu zebranym tłumom. Lot miał przebieg zupełnie szczęśliwy. Pewną niedokładność w funkcyonowaniu motoru udało mu się, po dwukrotnem wylądowaniu jeszcze w granicach Francyi, usunąć, poczem dostali się obaj żeglarze napowietrzni nad kanał La Manche, który szczęśliwie przebyli w wysokości 120 metrów w 35 minutach.

Przebywszy kanał, wylądował Moisant na ziemi angielskiej pod Willewod, gdyż wskutek dotkliwego zimna nie mógł swobodnie kierować aparatem. Odpocząwszy tam i przenocowawszy w chacie pobliskiej, ruszył następnego dnia wczesnym rankiem z nieodstępnym towarzyszem mechanikiem w dalszą drogę. Około godziny 6 rano musiał znowu wylądować koło Sittingbourne wskutek uszkodzenia aparatu, przyczem o mało nie wpadł do głębokiej kopalni wapienia, co mogło się bardzo tragicznie zakończyć. Doprowadziwszy przy pomocy mechanika aparat do porządku, ruszyli w dalszą drogę i po jeszcze jednem wylądowaniu koło Rainham, ujrzeli wieże i dachy Londynu, cel swej podróży.

Oczekiwał ich tam już wielki tłum publiczności, który na widok aparatu i obu żeglarzy wzniósł owacyjne okrzyki i powitał ich frenetycznymi oklaskami. Moisant zakreślił piękny łuk i gładko wylądował u stóp kryształowego pałacu. Rozentuzyazmowany tłum porwał go na ramiona i zaniósł do wnętrza pałacu, gdzie przygotowano dlań wspaniałe przyjęcie.



Chińska dzielnica w Nowym Jorku: Ruch handlowy w sąsiadującej z „Chinatown“ dzielnicy „Bowary“.

Lot Moisanta jest nowym rekordem w lotnictwie, choć przestrzeń nad kanałem La Manche po Bleriocie kilkakrotnie już przebyto na aeroplanach. Rekord stanowi tu ta okoliczność, iż Moisant odbył całą drogę z pasażerem i że przestrzeń była znacznie dłuższa, bo sięgała od Paryża aż do Londynu.

W tym samym mniejwięcej czasie dokonał angielski awiator Chavez wzlotu również rekordowego, gdyż osiągnął wysokość 1755 metrów, wysokość zatem, na którą przed nim nikt się nie wzbił. Wzlotu tego dokonał Chavez w pierwszej połowie sierpnia w miejscowości Blackpool.

Sława Chaveza trwała niedługo, była prawie jednodniową, gdyż wnet potem amerykanin Brookins pobił jego rekord, wzniósłszy się na wysokość 1904 metrów; tryumf swój atoli okupił Brookins śmiercią, gdyż aeroplan spadł na ziemię, a Brookins na miejscu się zabił.

Ostatnie dni przyniosły znowu smutną wiadomość o tragicznym wypadku, którego ofiarą padł słynny awiator francuski, ulubieniec Paryża, Legagneux, jeden z wybitnych uczestników „circuit de l' Est“; Legagneux w locie tym nie zdobył nagrody, chociaż przeleciał całą przestrzeń, wytyczoną w warunkach konkursu, gdyż z powodu zepsucia się motoru musiał podróż przerwać i lot o cały dzień opóźnił. Lot ten jego atoli jest pamiętny z innego względu. Oto



Chińska dzielnica w Nowym Jorku: Handel w dzielnicy „Chinatown“.

będąc na krańcach wschodnich Francyi, na samem pograniczu niemiecko-francuskiem, Legagneux wśród entuzyastycznych okrzyków i oklasków ludności francuskiej przeleciał pas graniczny i dostał się nad teren niemiecki, poczem zatoczywszy kilka łuków, wrócił nad ziemię francuską. Chwilę tę przedstawia jedna z naszych rycin, zamieszczonych w dzisiejszym numerze.



Chińska dzielnica w Nowym Jorku: Policya nowojorska, strzegąca wejścia do klubu palaczów opium.

Niedługo potem jednak padł Legagneux ofiarą fatalnego wypadku. Oto jako uczestnik lotów konkursowych w miejscowości Hadre o nagrodę etapową, uderzył o słup sygnałowy lewem skrzydłem swego biplanu. Aparat spadł i pogrzebał pod swymi szczątkami awiatora. Na szczęście rany, choć ciężkie, nie zagrażają na razie jego życiu i lekarze spodziewają się, iż do dwóch tygodni Legagneux odzyska zdrowie.

Fatalniej natomiast skończył się upadek holenderskiego awiatora van Measdik, który na miejscu życie postradał.

Tak to obok siebie równorzędnie notować trzeba i tryumfy i klęski awiatyki; każdy większy sukces na tem polu okupiony jest albo ciężkim wypadkiem albo nawet śmiercią jednego z dzielnych pionierów lotnictwa. Coraz wspanialsze wyniki zdają się jednak wskazywać, iż bliską jest chwila, kiedy wypadki podobne należeć będą do rzadkości, a tryumf ducha ludzkiego będzie zupełny.

Chińska dzielnica w Nowym Jorku.

Olbrzymie miasto amerykańskie, Nowy Jork, jest miastem może najbardziej międzynarodowem na świecie. Znaleść tam można wszędzie przedstawicieli wszelkich narodowości, od najbardziej cywilizowanych do najdzikszych. Nowy Jork bowiem stanowi niejako bramę Ameryki, przez którą prawie każdy obcy musi przejść, chcąc się dostać do wnętrza kraju. Bardzo wielu zaś z tych obcych osiada na stałe w Nowym Jorku.

Wśród obcych narodowości, stale w tem mieście mieszkających, osobną kolonię stanowią Chińczycy, zajmujący własną dzielnicę miasta, zwaną „Chinatown“.

Z wspaniałych, pięknych ulic Nowego Jorku chcąc się dostać do „Chinatown“, trzeba naprzód odbyć wędrówkę przez „Bowary“, część miasta, zamieszkaną przez najgorsze szumowiny społeczne, pełną apaszów i rzezimieszków, mających tam swe siedliska. Mnóstwo tam szynków i podejrzanych spelunek, w których przez cały dzień i przez całą noc ruch panuje ożywiony. Obcy, który dostanie się do tego gniazda bandyckiego, wychodzi stamtąd zwykle odarty z wszystkich wartościowych przedmiotów, nierzadko i obity porządnie.

Nie o wiele lepsze stosunki bezpieczeństwa panują w „Chinatown“. Mieszka tam podobno kilka tysięcy mężczyzn a kilkanaście tysięcy kobiet, dokładna jednak liczba mieszkańców tej dzielnicy nie jest i nie może być znana, Chińczycy bowiem niechętnie bardzo dopuszczają tam obcych i kryją się przed nimi i przed okiem władz amerykańskich w podziemnych norach i piwnicach, stanowiących drugie niejako miasto.

Chińczycy z „Chinatown“ są zorganizowani między sobą, mają swe władze, swe sądy własne, politykują bardzo gorąco, bardzo namiętnie, tak namiętnie, że niejednokrotnie nożami i rewolwerami załatwiają spory. Życie towarzyskie rozwinięte też między nimi bardzo wysoko.

Główna ulica „Chinatown“ stanowi niejako „corso“, przy którem leży mnóstwo restauracyi, kawiarni i klubów gry oraz palenia opium. Bo i hazard i opium lubią Chińczycy niezmiernie. Restauracye, kawiarnie i herbaciarnie mieszczą się zwykle na pierwszem lub drugiem piętrze wysokich kamienic i mają na froncie balkony lub tarasy, okryte makatami i oświetlone lampionami o słabem świetle.

Do tych lokalów dostęp jest i dla obcych łatwy, natomiast do lokalów gry i do klubów palaczy opium, bardzo trudno się dostać. Pobyt tam zresztą jest połączony z wielkiem niebezpieczeństwem i niejeden śmiałek, który próbował podpatrzeć „towarzyskie“ życie Chińczyków, przypłacił swą ciekawość życiem. W ostatnich czasach policya nowojorska zwróciła baczniejszą uwagę na te tajemne nory rozpusty i hazardu i wiele z nich pozamykała a właścicieli oddała do więzienia; wyplenić jednak zupełnie te „kasyna“ jest rzeczą niepodobną, gdyż mnóstwo ich kryje się po niedostępnych norach i spelunkach.

Odrębną część tej dzielnicy zajmuje chiński handel. Niezliczone mnóstwo sklepów i sklepików pokrywa fronty domów, przed nimi nadto szeregi kramów. Dostać tam można zarówno ubranie i towary galanteryjne, jak owoce, jarzyny, chleb i t. d.

Całość dzielnicy chińskiej przedstawia obraz bardzo rozmaity, bardzo egzotyczny i oryginalny, warto też z nią się zapoznać, byle w towarzystwie ludzi silnych i odważnych i z bronią w zanadrzu.

Głosy publiczne.

W programie Cyrku „Edison“ od piątku dnia 2-go do czwartku dnia 8 września danem będzie najnowsze zdjęcie artystyczne p. t. „Dziewica arizońska“, dramat amerykański, grany przez słynną trupę pułkownika Clarka na pięknych wyżynach Colorado.

Na ogólne żądanie p. t. Publiczności powtórzoną będzie „Uroczystość grunwaldzka w Krakowie“.

Reszta programu składa się przeważnie ze zdjęć o treści pouczającej i humorystycznej.

Wpisy do zakładów naukowych Lwowskiej Szkoły handlowej T. S. H. rozpoczynają się 25 sierpnia i trwać będą do 19 września względnie dla kursu abituryentów i abituryentek szkół średnich do dnia 4 października. Towarzystwo Szkoły handlowej prowadzi przy Lwowskiej Szkole handlowej cztery zakłady naukowe.

Trzyklasowa szkoła kupiectwa, warunkiem przyjęcia ukończona czwarta klasa szkoły ludowej.

Dwuklasowa szkoła Handlowa — warunkiem przyjęcia ukończona trzecia klasa szkoły średniej lub ukończona szkoła wydziałowa.

Jednoroczny kurs żeński — warunkiem przyjęcia ukończona 7 klasa szkoły wydziałowej.

Kurs dla abituryentów i abituryentek — warunkiem przyjęcia ukończona szkoła średnia.

Informacye i prospekty można otrzymać w sekretaryacie Lwowskiej Szkoły handlowej ulica Skarbkowska Nr. 21 codziennie w godzinach od 10—12 przedpołudniem.

Zamordowanie kobiety w Bawaryi.

Dnia 3 kwietnia 1910 nieznany sprawca u stoku góry Buchberg koło miasta Neumarkt w Bawaryi dwoma strzałami rewolwerowymi, w okolicę serca skierowanymi, zastrzelił nieznaną kobietę w wieku



Zamordowanie kobiety w Bawaryi: Bloczek z napisem „Krynica“ i fotografią mężczyzny, znalezioną przy ofiarze zbrodni.

do 25 lat, w 8 miesiącu ciąży będącą, a następnie udusił ją chustką męską do nosa ze znakiem „B. J.“.

Kobietę znaleziono dopiero 7 maja 1910 z twarzą do nierozpoznania.

Miała ona mocno czarne włosy, delikatne, niespracowane ręce, dobrze odżywiona i widocznie z lepszego stanu pochodząca. Na sobie miała niebieską suknię i taki żakiet ubrane czarnemi wstążkami, czerwoną w czarne pasy spodnicę, niebiesko-szare w białe paski pończochy i meszty. Niedaleko niej znajdował się rewolwer Bulldogg z czterema wystrzelonymi nabojami, ze znakiem fabrycznym „S. B.“ i numerem kalibru 380, dalej torebka z parą rękawiczek, chustką do nosa i maleńkim bloczkiem papierowym w okładkach aluminiowych, na jednej z nich wyryte słowo „Krynica“.

Na papierkach bloczku były ołówkiem wypisane **po polsku** pierwsze słowa kilku piosnek, a pod niemi nazwy: Rutkowski, Noskowski, Gall, Moniuszko. Obok kobiety leżał czarny filcowy kapelusz znacznej wielkości, na jego poszewce widać napis firmy: Mangin Maurice, Modes Paris, 27 rue du quatre Septembre“. U kapelusza 2 czarne duże pióra. Pieniędzy lub kosztowności przy zamordowanej nie znaleziono.

W owej torebce znajdowała się w ramkach fotografia mężczyzny, wielkości marki pocztowej. Jego odbicie w powiększeniu z bloczkiem owym umieszczamy obok. Nie jest wykluczonem, że ów mężczyzna jest mordercą. Możliwe ważne wiadomości udzielić należy król. Prokuratoryi w Amberg (Bawarya) lub sądowi obwodowemu w Stryju O. IX.

„**Wisła**“ ludowe Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie prosi o podanie do publicznej wiadomości, że z dniem 1 września 1910 przenosi swoje biura do Lwowa, gdzie pod prezesurą znanego zaszczytnie w kraju finansisty Władysława Długosza, posła na Sejm krajowy i marszałka powiatu gorlickiego przyjmować będzie nadal ubezpieczenia od ognia, budynków, ruchomości, placów etc.

Biura „**Wisły**“ zostaną z dniem powyższym umieszczone we Lwowie przy ulicy Wałowej l. 14. I. piętro.

Nowa jesienna i zimowa moda, jest w przewybomy sposób przez illustrowane pisma i kolekcye wzorów oddana; na żądanie przesyła je „Grand Magasin au prixe fixe“ Wiedeń I. Graben 15/8 naszym czytelnikom darmo i opłacone.

Za okno wyrzucone są często pieniądze, wydane za pierze i gotowe pierzyny, jeśli nie zwróci się Pan do właściwego źródła nabycia. Właśnie przy zakupnie pierza trzeba być bardzo ostrożnym i zwracać się tylko do pierwszorzędnej firmy w tym dziale i polecamy tutaj pierwszorzędny stary dom handlowy S. Benisch Deschenitz Nr. 757 Czechy, którego usilnem staraniem jest obsłużyć każdego jak najrzetelniej i najtaniej i temsamem każdego kupującego najzupełniej zadowolnić.

Łowiec: Organ galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego pod redakcyą Alberta Mniszka. Dwutygodnik.

Prócz fachowej treści, obchodzącej myśliwych zawiera sporo artykułów zająć mogących także laika na tem polu. Jako nadzwyczajny dodatek wydano „Spis wystawców oraz przedmiotów wystawionych w oddziale galicyjskim na pierwszej międzynarodowej wystawie łowieckiej we Wiedniu 1910 w austryackim pawilonie krajów koronnych“.

Wystawa łowiecka. W „Chromofotoskopie“ przy ul. Floryańskiej L. 4. (parter) jest wystawiona bardzo aktualna i interesująca serya, obejmująca wspaniałe okazy łowiectwa, znajdujące się na międzynarodowej **Wystawie łowieckiej we Wiedniu.** Nadarza się obecnie sposobność zwiedzenia ślicznych okazów tejże wystawy bez wszelkich trudów i za bagatelną opłatą — bo tylko za 20 halerzy.

We Filii „Stereoglob“ ul. Szewska L. 15. (parter) są do oglądania bardzo piękne widoki, zebrane podczas zeszłorocznego zwiedzenia „**Wenecyi**“.

Z półek księgarskich.

„**Kultura i sztuka**“ pod taką firmą rozpoczęła we Lwowie swoją działalność nowa instytucya wydawnicza.

Jaka pierwsza publikacya tego wydawnictwa pojawiła się świeża praca Dr. R. E. Kirchnera p. t. „**Potęga spirytyzmu**“ w przekładzie Dr. J. D. z illustracyami. Jest to popularne pouczenie o tem wszystkiem, co dotychczas wiemy o spirytyzmie, tej tajemniczej jakby się zdawało wiedzy, która ma już miliony wyznawców na obu półkulach.

Szata zewnętrzna książki każe przypuszczać, że młode wydawnictwo zamierza pod tym względem dorównać pierwszorzędnym firmom. Uwagę zwraca artystycznie wykonane exlibris Wacntla z napisem „Idę by walić młotem“.

L. Lelasseux & René Marque: **Aeroplan**. Popularne objaśnienie jego istoty i konstrukcyi. Z inicyatywy „Związku awiatycznego słuchaczów politechniki we Lwowie“ spolszczył i uzupełnił Włodzimierz Kisielnicki. Lwów. Polskie Biuro wydawnicze. Drukarnia Udziałowa 1910.

Jedyny polski podręcznik dający treściwy a zarazem nadzwyczaj szczegółowy i dokładny pogląd na istotę lotnictwa ostatnich czasów. Cena egzemplarza 2 K. 60 h.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 34.

Dobre rozwiązania nadesłali: S. Kaczyński Sanok; J. Obst Jasło, M Gawańska Krosno, J. Radomski Kraków, W. Ostrowski Warszawa, J. Grünfeld Lwów, S. Krasowski Kraków, J. Lichański Lwów, M. Kozłowska Lwów, S. Radomski Warszawa, J. Świrski Radomyśl, J. Łukawiecki Czerniowce, K. Balicki Kołomyja, W. Sitnikiewicz Kołomyja, W. Ossowski Warszawa. J. Baziak Tarnów. M. Baliski Tarnopol, J. Lisowski Sanok, J. Zachara Krosno, H Wyka Kraków, M. Gryziecka Przemyśl, J. Nowacki Sandomierz, H. Kwaśniewski Jodłów. W. Bandrowski Radom, W. Knapik Kielce, K. Szychowski Petersburg, W. Gromnicki Kraków, J. Baranowski Piotrków, W. Ost Warszawa, H. Pick Łódź, H. Kopczyńska Bierzanów, M. Gólska Janów, J. Jasiński Sambor, H. Brzostowski Krosno, W. Gramatyka Piotrków, S. Zabierzewski Częstochowa, A. Gralewski Kraków, A. Trzeciak Kraków, A. Pankowski Kraków. S. Krzyżanowski Podgórze, A. Walicki Mińsk, H. Borkowska Kraków, J. Ścieżka Sambor, K. Królikowski Tarnów, S. Karczmarski Kraków, G. Górski Warszawa, H. Knapik Sandomierz, H. Reim Lisko, K. Torczyński Rozwadów, J. Nikiel Zakopane, W. Lipowska Zakopane, B. Gramski Nowy Sącz, J. Gawor Tarnów, H. Barnat Rzeszów, W. Staniewicz Radom, S. Osuchowski Jasło, H Krożel Kraków, W. Misiewicz Jaworów, R. Kinalski Rozwadów, H. Tcholz Nisko, C. Wang Tarnobrzeg, J. Engelberg Rzeszów, W. Klapplolz Jasło, M. Rosenbaum Tarnów, M. Kraweeka Bochnia, J. Jaboda Cieszyn, H. Piątek Podwołoczyska, J. Bartmański Brody, S. Szczepański Wiedeń, H. Bieńkowski Wiedeń, S. Rogozińska Jadwinów, K. Kaim Kraków, M. Sulima Skawina, M. Serbeńska Budzanów, F. Górecka Borysław, K. Turecka Tarnopol, J. Badnra Rożdzień, K. Fuchs Czeremchów, S. Kowalówka Kraków, W. Kowalówka Kraków, H. Zegartowska Bogucice, K. Zegartowska Bogucice.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. *K. Torczyński Rozwadów.* Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Szarada: Kamerton.

Zadanie literackie:

Wiry
Illuzya
Widma
Ulana
Literat
Szubrawcy
Komedyantka
Ijola

Arytmograf:

P a r k i
A r g u s
D e m o n
E k r a n
R a d ź a
E d y k t
W e r w a
S a t y r
K o n a k
I s l a m

Łamigłówka: Oszczędność jest wielkim dochodem.

Trójkąt magiczny:

Z l o t s o k o l s t w a
L e l u m p o l e l u m
O r d y n a r y n s z
T r a n s a k c y a
S a c h a r y n a
O p e r e t k a
K o l o r y t
O n d y n a
L a r w a
S a b a
T u m
W y
A

Rebus: Serce uczy miłosiernego człowieka, że łzy suszyć trzeba nieszczęśliwym.

Uwaga: W trójkącie magicznym opuszczono w znaczeniach wyrazów przez pomyłkę nr. 8 i 9. Ponieważ omyłka pochodziła z naszej winy, rozwiązania, nadesłane bez owego zadania, uznaliśmy za odpowiadające warunkom, a nadsyłających dopuściliśmy do losowania.

Kącik humorystyczny.

W sądzie.

Sędzia: Więc przyznajesz pan, że ukradłeś ten rewolwer.

Oskarżony: Tak jest panie sędzio! Daję jednak słowo honoru, że tylko w tym celu, aby się zastrzelić!

Sędzia: A dlaczegóż zastawiłeś go pan u Gajera zaraz na drugi dzień?

Oskarżony: Bo nie miałem pieniędzy na naboje!

Autonomiczne.

W magistracie pewnego miasta odbywało się posiedzenie prezydyum celem zastanowienia się nad podwyższeniem płacy urzędników niższych rang, ewentualnie przyznaniem im dodatku drożyźnianego. Gdy poczęto radzić nad dolą asystentów rachunkowych, pan prezydent zauważył, że jego zdaniem, zupełnie wystarczy dla nich po sto koron jednorazowej zapomogi... Jeden z uczestników ankiety pokiwał poważnie głową na znak zgody, drugi jednak odchrząknął, splunął, utarł nos i odezwał się z powagą:

— Zgoda moi panowie! Możecie im dać po sto koron; to są rzeczywiście biedacy! Wyjątek jednak musimy zrobić dla asystenta Kulfońskiego. Temu musimy dać przynajmniej dwieście pięćdziesiąt koron. On, moi panowie, ożenił się z córką rzeźnika Flaczyńskiego, za którą wziął sto tysięcy koron, ciotka Przyszczypkowska zapisała mu w tamtym miesiącu pięćdziesiąt tysięcy... Co dla niego znaczy głupich sto koron?... Gotów jeszcze nie przyjąć...

Pokiwano jeszcze raz poważnie głowami i jednomyślnie zgodzono się na wniosek.

Zarozumiały lekarz.

— Więc pan konsyliarz powiada, że to silne bicie serca nie jest wcale niebezpiecznem? Nie potrzebuję się go obawiać?

— Naturalnie! *W mojej obecności*, łaskawa pani, cierpi na to każda kobieta!...

Może i ma słuszność!

— Więc ślub twój dopiero we wrześniu? Dlaczegóż tak późno?

— I ja i mój narzeczony nie chcieliśmy sobie psuć wakacyi!



Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

23

— Nie myślę już nawet o tem! — odparła prasowaczka.

— Dziękuje za niego.

I Panajon aż do sieni odprowadził młodą dziewczynę, nie szczędząc jej oznak swego poważania i uwielbienia.

Potem powrócił do służącego. Tetard nie śmiał jeszcze mówić.

— Bydlę! — zawołał Panajon. — Bierzesz się do swej pani?

— Do mej pani? — zdumiał się herkules.

— Naturalnie! Ja kocham tę młodą osobę!

— Kochasz ją?...

— Z całego serca.

— Do dyabła! Nie wiedziałem.

— Dodam ci jeszcze i to, że jestem zmuszony ją kochać. Rozumiesz? Jestem zmuszony!

— Dlaczego?

— Ponieważ ta miłość należy do programu...

— Jakiego programu?

— Niedomyślny! Do programu mych przedsięwzięć. Czyż ci się zdaje, że ja nic nie robię? Nie miałbyś wtedy takiej miny i nie próżnowałbyś tak, jak obecnie. Pieniądze, które wydajemy, ja zdobywem i to jest dopiero początek.

— Przypuszczam, że masz w rękach jakiś wspaniały interes — odparł pokornie herkules. — Ponieważ jednak nic mi nie mówiłeś...

— Nie byłeś więc pewny. Ach! mój kochany. Chodzi tu o intrygę, której rozwikłać nie zdołałby sam Machiavel.

— Machiavel? Co to za ptak?

— Cicho! Dosyć niepotrzebnej gadaniny. Czas to pieniądz dla milionera Karola Turnera! Ubierz mnie... Jem dzisiaj obiad z mym przyjacielem Joem Smithem, wielkim businessmanem z Chicago, a przedtem muszę być jeszcze w Neuilly...

O szóstej godzinie Panajon, ubrany w frakowy garnitur, biały krawat i lakierki, włożył na siebie futro i siadł do samochodu, który czekał na niego przed domem.

W czasie jazdy odczytywał przy świetle lampy elektrycznej w swym pojeździe ostatni raport biura policyjnego. Agencya, która podjęła się śledzenia Ludwiki, przysyłała mniemanemu Karolowi Turnerowi kilka razy dziennie szczegółowe informacye, odnoszące się do młodej panny. Pierwszy raport nadchodził na ulicę Boissy-d'Anglas o dziewiątej godzinie rano, drugi o trzeciej popołudniu a trzeci o dziewiątej wieczorem. Każdy z tych raportów był podwójny. Zawierał on bowiem spostrzeżenia ajenta ze strychu i drugiego ajenta z ulicy. Gdy złodziej skończył czytanie, kiwnął głową i szepnął do siebie:

— Piotr Cartelegue schodzi się znowu z tą Ludwiką Dubois... Przeczuwa jakąś machinacyę... Wkrótce przedsięweźmie i badanie... Do dyabła! Interesa twe psują się, mój czcigodny panie Duret.

XV.

Gdy w pięć minut potem służący Maksyma Dureta anonsował Karola Turnera, filantrop rozmawiał w swym gabinecie z baronową de Lagunan. Maksym Duret poprosił siostrzenicę, by przeszła do sąsiedniego pokoju a sam siadł przy biurku.

— Jak się masz, drogi przyjacielu? — zapytał poufale Panajon, wchodząc pewnym krokiem, jak człowiek, który czuje się, jak u siebie.

— Bardzo dobrze. Dziękuję. A ty?

Odpowiedź taką dał tylko ze względu na służącego, który zamykał drzwi.

Panajon siadł na fotelu przy biurku i założył nogę na nogę. Bez najmniejszej ceremonii położył laskę i cylinder na papierach filantropa i podał mu raport agencyi.

— Dzień był płodny w różne zdarzenia — rzekł. — Przekona się pan z tych raportów, że młody Cartelegue był u panny Dubois...

Maksym Duret czytał chciwie podane sobie sprawozdanie. Nie ruszał się. Na twarzy jego malował się zwykły wyniosły i dumny wyraz.

— Potem — mówił dalej złodziej — upewniłem się, że młoda praczka z ulicy du Rocher gotowa jest jechać ze mną na Cyterę... Panu nie pozostaje nic innego, jak tylko dać sygnał do odjazdu... i zapłacić koszta podróży.

— Dobrze — odparł Maksym Duret.

Zamyślił się na chwilę, potem rzekł:

— Czy może pan skłonić tę młodą dziewczynę, by jutro po południu przyszła do pana z koszykiem o naznaczonej porze?

— Bardzo łatwo! Zrobię tylko to, co zrobiłem dzisiaj.

— Co takiego?

— Poślę w danej chwili służącego, by powiedział, aby mi przyniesiono zaraz tę lub inną sztukę bielizny.

— A jeżeli ta sztuka nie będzie jeszcze gotowa?

— Wyprasują ją galopem.

— A jeżeli ona nie jest jeszcze wyprana? Albo jeżeli jej jeszcze nie przynieśli z pralni do prasowania? Nie będą w takim razie mogli spełnić natychmiast pańskiego żądania. Pański sposób postępowania nie jest pewny. Udał się dzisiaj. Może zawieść jutro. Wie pan, co służący powinien powiedzieć praczce? Aby natychmiast przyszła po bieliznę! Nic im nie będzie przeszkadzało spełnić zaraz pańskie żądanie... Pojmuje pan?

— Najzupełniej — odpowiedział Panajon.

Złodziej wiedział, że miał do czynienia nie z byle kim. Intryga, prowadzona przez Dureta, najlepiej dowiodła niepośledniej inteligencyi tego człowieka. Jego słuszna uwaga nie zadziwiła już teraz Panajona.

„On zważa na wszystko — rozmyślał złodziej Wszystko przewidzi! Ja również czułem, że czegoś brak w mym planie... A on spostrzegł to odrazu! Chytra sztuka! Co za oko! Czyżbym ja przypadkiem znalazł godnego siebie przeciwnika? Nie mówię tego co do łajdactwa... Jest zupełnie jasnem, że wobec takiego opryszka ja jestem dobroczyńcą ludzkości, świętym Wincentym a Paulo... Lecz co do zręczności i sprytu?... Zdaje mi się chwilami, że jestem już jak zdezelowana szkapa... Do dyabła! Trzeba się mieć na baczności!“

— Może się także zdarzyć, że właśnie tym razem przyślą panu drugą prasowaczkę — ciągnął dalej Duret — ponieważ ta, na którą pan liczy, poszła już do kogo innego, lub też musi kończyć zaczętą robotę.. W pierwszym wypadku pański służący, gdy spostrzeże, że jej niema w pralni, winien stanąć na ulicy i czekać na nią, by jej powiedzieć, że jej pan potrzebuje... W drugim przypadku winien on zakręcić się zgrabnie w pralni i znaleść odpowiedni moment, by szepnąć jej do ucha, że pan prosi ją, by zaraz przyszła...

— Dobrze — rzekł Panajon.

W duchu powtórzył sobie:

„Ale to jest rzeczywiście nie lada opryszek“.

— Pozostaje teraz naznaczyć godzinę — mówił dalej Maksym Duret.

— Proszę ją naznaczyć — odezwał się Panajon.

— Niech ta młoda osoba przyjdzie w takim razie do pana jutro między czwartą a piątą.

— Teraz, drogi przyjacielu, musisz mi dać możność spełnienia twych żądań... Taka operacya należy do kosztownych... Nie jestem tak zarozumiały, by chcieć swą urodą uwieść pannę Ewę... Przedstawiłem temu miłemu dziecku przyszłość w tak różowych kolorach, iż teraz wyciąga do niej ręce...

— Jednem słowem — przerwał Duret — ile pan jeszcze żąda?

— Jeszcze? Jakto jeszcze? Wyraża się pan w niezwykły sposób! A taką pan zrobił minę, jak gdybym pana gdzie w lasku oporządził! Cóż do licha! Przecież nie dlatego proszę o pieniądze, by je chować dla siebie!

— Pan pozwoli...

— Niech pan sam pozwoli! Mógłbym żądać od pana daleko większej ceny za spełnianie tak delikatnej operacyi... Moje honorarya mogłyby być daleko większe... Niech pan więc podziwia tylko moją bezinteresowność, gdyż ja mówię tylko o wydatkach... o wydatkach, których ma się rozumieć nie chcę pokrywać z własnej kieszeni... A pan przybiera zaraz oburzoną minę! Pan zresztą zawsze tak postępuje, gdy tylko pozostanie poruszona strona pieniężna tego przedsięwzięcia... Och! jak ja tego nie lubię!

— Na godne występowanie jako Karol Turner powinien pan używać dwunastu tysięcy franków, które dałem panu dzisiaj rano z powodu pojedynku.

— I ja też to robię.. Niech pan zapyta się kogokolwiek na bulwarach, czy źle się prezentuje Karol Turner... Lecz nie o niego teraz chodzi... O jego przyjaciółkę... I ona musi mieć odpowiednie środki do należytego prezentowania się w świecie... Pan winien o tem pomyśleć...

— Dobrze! Czego jej potrzeba?

— Nie wiem jeszcze... Zobaczymy... Na razie niech pan mi da kilka setek luidorów...

— Kilka setek... luidorów?

— Naturalnie! Przecież nie załatwi się wszystkiego banknotem stufrankowym... Niech pan zwróci uwagę na to, że aby przekonać tę małą, musiałem jej opowiadać o sporcie samochodowym, jachtowym...

— Źle pan czynił.

— Ach, drogi przyjacielu, trzeba mieć trochę odwagi w kieszeni! Przecież ja proszę o pieniądze dla pańskiego dobra, a mógłbym chyba wyłudzać daleko większe sumy tylko dla siebie!

— Tak pan sądzi? — zapytał spokojnie Duret.

Ani na chwilę jeszcze nie stracił swego spokoju i wyrazu zupełnej obojętności. Nie zmieszał się nawet wcale wobec tej aluzyi do możliwego szantażu.

— Owszem — odparł nie mniej spokojnie Panajon. — Pan, drogi przyjacielu, jest w mych rękach. Nie mam chyba potrzeby opowiadać panu, że wiem wszystko? Prędko dorozumiałem się, do czego panu służę... A gdybym jeszcze tego nie wiedział, ten oto raport agencyi wszystkoby mi wyjaśnił... Ten raport odkrył mi jeszcze jeden szczegół, o którym nie wiedziałem, a mianowicie zajęcie się Juliana Maixenta panną Dubois... Dzięki prywatnym ajentom, których pan sam opłaca, znam teraz zamiast jednej, dwie osoby, któreby mnie słuchały z wielkiem zainteresowaniem, gdybym im opowiadał, do czego Maksym Duret wynajął Ernesta Panajona...

Filantrop pozostał niewzruszony.

— Skończył już pan? — zapytał, gdy złodziej zamilkł.

— Skończyłem.

— Tem lepiej. Nie mam dzisiaj wieczorem wiele czasu, a muszę dać panu kilka szczegółowszych informacyi.

Panajon nie mógł opanować podziwu dla Maksyma Dureta. Co za obojętność wobec tak strasznych gróźb. Sapristi! Jakże on potrafi panować nad sobą! Ciężka z nim sprawa!

Odezwał się głośno:

— Znowu informacye?... Och, skończmy już na-

przód sprawy pieniężne... Nie chcę powracać do nich ciągle... Są to rzeczy nieprzyjemne i pan powinien być na tyle delikatnym, by mnie nie zmuszać do mówienia o nich, lecz kasę swą mieć dla mnie stale otwartą... Trzy lub cztery setki luidorów jest to minimum, niezbędne na pierwsze wydatki, jakie pociąga za sobą zmiana stanowiska panny Ewy... Robić coś chcę albo dobrze, albo też wcale nie robić... Jeżeli się pan na to nie zgadza, niech pan powie szczerze, a ja się usunę, oddając tę sprawę komu innemu. Zrobię to z prawdziwą przyjemnością... Dosyć już mam tego życia klubowego...

— A jednak wydaje się pan zachwycony tem życiem...

— Tak i nie... Czy mam wyznać wszystko? Wyznam, gdyż nie mamy nic przed sobą do ukrywania... Tęsknię za kradzieżą!... Już oddawna nie wsunąłem ręki do cudzej kieszeni. Jeżeli też rzeczy nie pójdą według mej myśli, to pewnego wieczoru Karol Turner zniknie z widnokręgu, zabierając z sobą portfele swych przyjaciół.

— Podpiszę panu czek na sześć tysięcy franków — rzekł Maksym Duret.

— Wreszcie! Ach, jaki pan jest twardy!

— A teraz proszę mnie słuchać...

— To mają być zapowiedziane informacye?

— Tak.

— Dobrze... Słucham...

— Naprzód jednak muszę panu zadać dwa pytania...

— Proszę.

— Czy jest pan pewny swego służącego?

— Najzupełniej... Jest głupi, lecz wierny i mnie oddany... Dobry chłopiec!

— I podejmie się wypełnić zlecenie, które może mu się wydać dziwnem?

— Dziwnem? Chce pan powiedzieć podejrzanem.

— Podejrzanem, jeżeli pan woli to określenie.

— Niech pan nazywa kota kotem... Owszem, podejmie się!...

— Dobrze... Jutro więc między czwartą a piątą pańska praczka Ewa będzie u pana...

— Będzie.

— I pozostanie.

— I pozostanie... Ach! jak na tę myśl me serce drży!

— Słucha mnie pan dobrze? prawda? — zapytał Duret, marszcząc lekko brwi.

— Słucham... Słucham tylko wesoło... Nie potrzeba zaraz przybierać grobowych min, gdy się układa jakie zamachy... Boże! jak wszystkie pańskie podstępy są smutne!

Maksym Duret zmarszczył silniej brwi i poruszył się nerwowo. Na groźby Panajona pozostał nieczułym. Poufałość jednak drażniła go. W tej spółce, jaką zawarł ze złodziejem, nic go tak nie irytowało, jak konieczna z nim zażyłość. Pohamował się jednak zaraz i mówił dalej:

— Ewa natychmiast napisze...

— Ewa?

— Tak... Ewa natychmiast napisze do pralni następujący list:

„Spotkałam pewnego pana, który się bardzo mną zajął. Razem wyjeżdżamy. Nie mam już czasu, by przyjść i pożegnać się. Dołączam pięćdziesiąt franków za tydzień, którego nie dobyłam do końca miesiąca“.

Maksym Duret mówił to wolno. Panajon wyjął notes i zapisał tekst listu.

— *All right!* — odezwał się złodziej, gdy napisał ostatnie słowo.

— Wyśle pan to zaraz... A proszę nie zapomnieć dołączyć pięćdziesiąt franków...

— Niech pan będzie spokojny...

— Zlecenie to winien wypełnić ktoś, kto pana nie zna... Pośle pan kogokolwiek... chłopca z kawiarni.

— Dobrze.

— Teraz przystępujemy do drugiej rzeczy. Tem zajmie się pański służący.

Filantrop nie potrzebował już zalecać swemu gościowi uwagi, gdyż Panajon słuchał obecnie z przejęciem. Złodziej nie stracił ani jednego słowa.

Był zaintrygowany do najwyższego stopnia.

— Pośle go pan... — mówił dalej filantrop.

— Służącego?

— Tak... Pośle go pan bez zwłoki na ulicę Ternes pod numer 44. Wejdzie on na trzecie piętro i zadzwoni do pierwszych drzwi na lewo... Jeżeli stróżka, gdy będzie przechodził koło jej mieszkania, zapyta go, dokąd idzie, niech odpowie, że do pana Dupont... Ten pan Dupont wręczy mu koszyk lub też serwetkę, w jaką praczki zawijają bieliznę. Koszyk lub serwetkę pański służący odniesie do pralni przy ulicy Laugier i zwróci się do pani Lambert z następującemi słowami..

Panajon wziął znowu do ręki notes, a Maksym Duret zaczął mówić wolniej, by złodziej mógł notować.

„Panna Dubois odsyła to pani. Nie wróci już tutaj i prosi o przebaczenie. Załącza przy tem dwa luidory za tydzień, przez który nie pracowła w pralni“. — Potem wyjdzie ou stamtąd.

Twarz Panajona rozjaśniła się. Złodziej wreszcie zrozumiał.

— Wieczorem w klubie — dodał Maksym Duret — powie pan z miną tajemniczą, iż wyjeżdża pan na Południe z pewną rozkoszną osobą. Na drugi dzień rano pan rzeczywiście wyjedzie do jakiej odleglejszej i mało uczęszczanej miejscowości.. naprzykład w stronę Pirenei.

Panajon przyjmował te informacye z zadowoleniem, ciesząc się w duszy:

„Doskonale! Wreszcie! Teraz rozumiem już dokładnie całą tę wstrętną robotę! Teraz ja mogę wydawać rozkazy“.

— Oto są me instrukcye — skończył Maksym Duret. — Zapamiętał je pan?

— Niech się pan nie lęka.

— Dla większej jednak pewności przyjdzie pan do mnie jutro w południe i powtórzy mi pan wszystko słowo po słowie... Przekonamy się, czy można ufać pańskiej pamięci...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

SZARADA.

Ułożył X. Y. Kraków.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły szereg wyrazów. Środkowe ich głoski, czytane z góry na dół, przypomną każdemu z uczniów okoliczność, która go z pewnością zasmuci!



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Przyprawa do potraw. 3. Turecka nazwa pałacu. 4. Zwierzę drapieżne z rodziny psów. 5. Samogłoska. 6 Tak każdy westchnie, odgadnąwszy szaradę! 7. Miasto na Litwie. 8. Ciało promieniotwórcze. 9. Spółgłoska. 10. Miasto na Podolu. 11. Popularna postać jednej z komedyi Przybylskiego. 12. Utwór przestrzenny. 13. Mały statek wojenny na Dunaju.

ZADANIE DO PRZESTAWIENIA.

Ułożył J. Menczak, Radymno.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Dante, pop, paki, dom, Wisła, wiem, do, kokki.

ARYTMOGRAF.

Ułożył K. J. Sokołowski, Śniatyn.

W miejsce cyfr wstawić litery. Środkowe, czytane z góry na dół, utworzą tytuł powieści jednego z obecnych polskich powieściopisarzy.

1
2 3 4
5 6 7 8 9
5 10 11 6 12 12 10
22 14 15 4 10
16 7 5
9 17 9 12 10
18 7 9 3 19 10 12
19 10 12 20 10 13 6 17 12
13 21 20 20 7 15 18
20 16 10 15 3
13 12 4
10

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Krzewy w naszych ogrodach. 3. Miasto koronacyjne, królów francuskich. 4. Miasto we Włoszech. 5. Imię żeńskie. 6. Rzecz używana dla oznaczenia żałoby. 7. Drzewo szpilkowe. 8. Mieszkaniec południowej Europy. 9. Imię męskie. 10. Miasto w Belgii. 11. Rzemieślnik. 12. Rośliny, z których włókien robi się płótno. 13. Samogłoska.

ZAGADKA LITERACKA.

Ułożył S. Kowalówka, Kraków.

Wynaleźć po jednym utworze podanych niżej pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko polskiego muzyka.

Kraszewski ?
Korzeniowski ?
Gruszecki ?
Halicka ?
Konopnicka ?
Gralewski ?
Żuławski ?
Orzeszkowa ?
Sokołowska ?
Sienkiewicz ?
Kowerska ?

ZAGADKA DO PRZESTAWIENIA.

Ułożył J. Badura, Rożdzień.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:
Szych, ład, szył, wie, za my.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania Piotra Jaksy Bykowskiego: **Skarby prababki.** Powieść z przed wieku.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.